

KRESOWIAK GALICYJSKI



ISSN 1426-4773

W NUMERZE:

- Magister szuka pracy
- Związek strzelecki w Lubaczowie
- Kine „Melodia”
- Kronika Policyjna

Indeks 334596

MAGAZYN PUBLICYSTYCZNO-INFORMACYJNY POWIATU LUBACZOWSKIEGO

Nr 12 (181) www.kresowiakgalicyjski.pl grudzień 2011

Cena 2,50 zł (w tym 5% VAT)

„Akowiec” z Narola



Trudno byłoby w powiecie lubaczowskim znaleźć drugą osobę pokroju Jana Wolańczyka z Narola. Ten człowiek zawarł w swoim charakterze całe bogactwo człowieka Kresów: przywiązanie do lokalnej tradycji, fascynację przyrodą i otwartość na świat i ludzi. Z wyrazistą osobowością i charakterem harmonizuje wzbudzający również zainteresowanie kobiet jego wygląd: sarmacki wąs, przenikliwe spojrzenie, charakterystyczna długa przypominająca wojskową bluza. I ta twarz na której mocne piętno wycisnęły wiatry, słońce i deszcze. Wydaje się jakby był sztyty do takiej gminy jak Narol, która słynie z roztoczańskich krajobrazów, bogatej lokalnej historii i eksplozji inicjatyw kulturalnych. Wystarczy z nim krótka rozmowa a już odnosimy wrażenie jak byśmy spotkali znanego od lat przyjaciela.

Przez wszystkie lata pracy, które spędził w Urzędzie Miasta i Gminy w Narolu był na styku z ludźmi. Najpierw przez szereg lat pełnił funkcję kierownika Urzędu Stanu Cywilnego, później odpowiadał m.in. za rejestrację firm. Jan Wolańczyk zawsze należał do ludzi, którzy nie lubili chodźć w zaprzęgu. Był zaprzeczeniem urzędnika pracującego za biurkiem. Zawsze miał duszę wagabundy i poczucie niezależności. Jego pasje i zaintere-

sowania zdecydowanie wykraczały poza ramy rutynowych przepisanych mu obowiązków. Zauważa to burmistrz Stanisław Woś i puszcza go na szersze wody, zapewniając mu dodatkowo status pracownika od specjalnych poruczeń. A więc już w latach dziewięćdziesiątych pełnił funkcję nieformalnego pracownika zajmującego się szeroko pojętą promocją. Występując w roli rzecznika prasowego Urzędu był wszędzie tam gdzie dla miasta i gminy coś ważnego się działo. Był współorganizatorem Koncertów Muzyki Kameralnej, Jarmarków Galicyjskich i szeregu innych przedsięwzięć. Imponujące są jego kontakty z ludźmi ze świata kultury. To on jest w gronie nielicznych osób, które namawiają prof. Władysława Kłosiewicza do zakupu pałacu w Narolu. Jan Wolańczyk od roku jest już na emeryturze. *Było by wielką stratą dla nas – mówi burmistrz Stanisław Woś – gdyby człowiek tego formatu pozostał na uboczu. Dlatego też jak dawniej Jan nadal aktywnie uczestniczy w życiu społecznym gminy.*

Skąd więc bierze się wyjątkowość Wolańczyka? Co zadecydowało o jego autorytecie i popularności?

Jana już od młodych lat fascynowała historia Narola i partyzanckie epizody z ostatniej wojny tych stron. Stąd zabiegał o kontakty z byłymi akowcami i z niesłabnącym zainteresowaniem słuchał ich relacji. A należy pamiętać, że wojenna, jak też powojenna rzeczywistość obfitowała na tym terenie w wielkie wydarzenia i była niezwykle burzliwa. To tu ruch oporu przeciw okupantowi należał do najsilniejszych w regionie. Nic dziwnego, że pokolenie leśnych żołnierzy było to wyjątkowo liczne. Jan zdobywał uznanie byłych partyzantów i tylko jemu powierzali niejedną tajemnicę zastrzeżoną niegdyś żołnierską przysięgą. Trzeba z uznaniem przyznać, że Jan jest godnym spadkobiercą partyzanckiej tradycji. Zdobytej wiedzy nie magazynuje. Wciąż przy różnych okazjach, których nie brakuje, młodszej generacji szczerze przekazuje partyzanckie epizody zmagania z okupantem. Nieprzypadkowo przyłgnęło do niego określenie „Akowiec”. Większość leśnych chłopaków odmaszerowała na wieczną wartę. Gdzieś patrząc z niebios mogą być dumni, że to właśnie Jan stoi na straży pamięci o nich i sławi ich dokonania.

cd. na str. 3



*Naszym Klientom,
Sympatykom oraz wszystkim
Mieszkańcom Lubaczowa
radosnych Świąt Bożego
Narodzeni
a oraz dużo szczęścia,
pomysłności w Nowym 2012
roku życzy
Zarząd i Pracownicy
Miejskiej Spółdzielni
„Samopomoc Chłopską”
w Lubaczowie*

Nowa inwestycja Grupy Producentkiej „Kresy”

Spółdzielca Grupa Producentka „Kresy” w Lubaczowie 25 listopada oddała do użytku nowy zakład. W Wielkich Oczach na bazie wykupionych magazynów GS „SCH” zbudowano 3 silosy leżowos – zbożowe o pojemności 300 ton każdy wraz z koszem przyjęciowym. Ponadto zainstalowana została 60-tonowa elektroniczna waga. Koszt inwestycji wyniósł 650 tys. zł. W otwarciu zakładu oprócz członków oraz – prezesa „Kresów” Jana Janczury, który był organizatorem tego przedsięwzięcia, uczestniczył dyrektor Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa w Rzeszowie Marek Ordyczynski, prezes Regionalnego Związku Grup Producentek Władysław Kołodziej, prezes Powiatowego Banku Spółdzielczego Paweł Kapel, starosta Józef Michalik, wójt gminy Wielkie Oczy Tomasz Lorenc, oraz szefowie firm AGR Wrocław i „Senakiewicz” z Jarosławia, którzy wykonali tę inwestycję. MW

Odnowa nagrobka powstańca w Oleszycach

Prawie 3 tys. zł zebrało Towarzystwo Miłośników Ziemi Oleszyckiej podczas kwesty 1 listopada. Pieniądze będą przeznaczone na odnowę zabytkowych nagrobków na tutejszym cmentarzu. Kwesta została zorganizowana po raz drugi. W ubiegłym roku udało się zebrać nieco ponad 2 tys. zł, za które społecznicy rozpoczęli odnowę jednego z najważniejszych nagrobków-pomnika Franciszka Knapa, powstańca styczniowego z 1863 roku. Koszt renowacji to ponad 10 tys. zł, dlatego wciąż potrzebne są fundusze na ten cel. Renowacją zabytku zajmował się Leszek Oprządek, krakowski artysta-rzeźbiarz. Zadanie nie było łatwe, bo choć cokolwiek pomnika był w dobrym stanie to rzeźba przedstawiająca najprawdopodobniej postać św. Eufemii była prawie w całości zniszczona i trzeba było ją odtworzyć niemal od zera. Odnowiony pomnik stojący w centralnej części cmentarza można podziwiać od Wszystkich Świętych. Towarzystwo planuje odnowę kolejnych zabytkowych nagrobków, których na cmentarzu jest wiele.

Nowiny

Sukces narolskich karateków

Kolejny sukces narolskich karateków. Trójka młodych sportowców, trenujących na co dzień w sekcji karate tradycyjnego Fudokan przy CKiS w Cieszanowie, aż pięciokrotnie stawała na podium. Młodzi karatecy z Narola w połowie października uczestniczyli w Mistrzostwach Polski Kadetów, Juniorów i Seniorów oraz Międzywojewódzkich Mistrzostwach Młodzików w Karate Tradycyjnym Fudokan. Gminę Narol udanie reprezentowali bracia Paweł i Marcin Sigłowy z Płazowa oraz Patrycja Mazurkiewicz z Narola Wsi. Zawody w Warszawie były kolejnym etapem powołań do kadry Polski. Turniej rozgrywany z podziałem na grupy zgromadził zawodników z czołowych klubów z całej Polski. Trójka z Narola, broniąca na co dzień barw sekcji karate tradycyjnego przy CKiS w Cieszanowie, może swój występ zaliczyć do bardzo udanych, bowiem Marcin Sigłowy w klasyfikacji Mistrzostw Polski stawał dwukrotnie na podium, zajmując III miejsce w kata indywidualnym oraz III miejsce w kata drużynowym. Jego brat Paweł Sigłowy oraz Patrycja Mazurkiewicz w Międzywojewódzkich Mistrzostwach Młodzików również stawali na podium. Patrycja zajęła I miejsce w kata i III miejsce w kumite, natomiast Paweł zajął drugie miejsce w kumite. W sumie sekcja z Cieszanowa przyniosła z turnieju w Warszawie aż 15 medali. NCI

W POWIECIE LUBACZOWSKIM

Kwsta na rzecz ratowania zabytkowych nagrobków

Na rzecz ratowania zabytkowych nagrobków kolejny rok z rzędu kwestowali podczas uroczystości Wszystkich Świętych lubaczowscy nauczyciele, urzędnicy i społecznicy. Do puszek uzbierali ponad 5,1 tys. zł. Zbiórki od 13 lat organizuje Towarzystwo Miłośników Ziemi Lubaczowskiej. Datki przeznaczane są na renowację zabytkowych nagrobków na lubaczowskim cmentarzu. Za uzbierane dotychczas pieniądze odrestaurowano już ponad 40 nagrobków. Odnówione i uratowane od zniszczenia rzeźby i krzyże autorstwa kamieniarzy z Brusna można oglądać w lapidarium kamieniarki bruśnieńskiej, położonym w dolnej części cmentarza przy ul. Kościuszki. Pieniądze z poprzednich, jak i z tegorocznej kwesty będą przeznaczone na renowację zabytkowych kaplic cmentarnych, pochodzących z połowy XIX wieku. Remont ma się rozpocząć w przyszłym roku. Koszt ich odnowy to około 80 tys. zł, dlatego miasto od tego roku właściciel kaplic-będzie się starało o dofinansowanie od Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków. Zgodnie z zamysłem władarzy, pierwsza kaplica miałaby pełnić funkcję miejsca pamięci, poświęconego zmarłym pochowanym poza Lubaczowem. Można by tu zapalać znicze ku ich pamięci i wstawiać pamiątkowe tabliczki z ich nazwiskami. W drugiej kaplicy mogłyby być przechowywane zabytkowe krzyże, tabliczki lub inne niewielkie elementy niszczących, opuszczonych nagrobków.

Twoje Radio Lubaczów

Nowa inwestycja w lubaczowskiej Fabryce Maszyn

Powstała w 2006 roku lubaczowska Fabryka Maszyn produkuje podzespoły hydrauliki siłowej w tym typoszereg przekładni hydrokinetycznych do maszyn budowlanych. Ponadto FM produkuje też części i podzespoły do maszyn stosowanych w przemyśle budowlanym jak pompy hamulcowe, łożyska i lemiesz do koparek oraz różnego rodzaju części zamienne. Rozwój produkcji uczynił zasadną decyzję budowy nowej hali produkcyjnej. Aktualnie przy ulicy Mazury powstaje hala produkcyjna o powierzchni ponad 1000 m kw. W nowej hali, w ramach projektu inwestycyjnego „Rozwój przedsiębiorstwa” której koszt wyniesie 2,5 mln zł. uruchomiona zostanie produkcja przekładni hydrokinetycznej o symbolu PH1 440 40 do maszyn budowlanych. Uzyskano już środki na uruchomienie innowacyjnej linii technologicznej do wytwarzania korpusów żeliwnych oraz innych usług. Całkowita wartość inwestycji to 3 mln zł. Z czego UE przeznaczyła na jego realizację ponad 1,3 mln zł. Od września ub. Roku FM zatrudniła już około 30 osób, kolejne będzie zatrudniać po uruchomieniu hali.

Życie Podkarpackie

Nielegalna muzyka w lokalach publicznych

Policjanci z lubaczowskiej komendy z inspektorem Stowarzyszenia Autorów ZAiKS prowadzili na terenie powiatu lubaczowskiego kontrole lokali publicznych pod kontem legalności odtwarzania muzyki. Okazało się, że w dwóch lokalach w Lubaczowie oraz w jednym w Oleszycach i w Horyńcu Zdroju właściciele nie mieli wymaganej prawem umowy licencyjnej, tym samym bez-

prawnie odtwarzano utwory słowno-muzyczne. Okazuje się, że za odtwarzanie muzyki, nawet na weselu należy płacić według określonych stawek. Płacić także należy za szafy grające, a także za odtwarzanie utworów z nośników obrazu i dźwięku podczas imprez karaoke. Przykładowo organizator takiej imprezy, gdzie liczba uczestników nie przekracza 50 osób, musi zapłacić 50 zł, ale już za 500 osób właściciel płaci 400 zł.

Super Nowości

20 lat działalności zespołu „Dzikowanie”

12 listopada 2011 r. w Gminnym Ośrodku Kultury w Starym Dzikowie odbyła się uroczystość z okazji 20-lecia działalności artystycznej zespołu śpiewaczego „Dzikowanie” z Starego Dzikowa. W jubileuszowym spotkaniu, oprócz władz gminy wzięły udział zaprzyjaźnione zespoły śpiewacze: „Wrzos” z Nowego Dzikowa, zespoły Kół Gospodyń Wiejskich z Moszczanicy, Cewkowa Woli i Ułazowa oraz zespół z Rożniatowa z gminy Zarzecz w powiecie przeworskim. Po powitaniu gości dyrektor GOK Leszek Król przybliżył historię powstania zespołu oraz złożył gorące podziękowanie paniom z zespołu. Wójt Barbara Małecka życzyła sukcesów w kontynuacji przekazywania tradycji ludowych, wręczyła również wygrawerowane pamiątkowe tabliczki oraz listy gratulacyjne dla wszystkich członkin zespołu „Dzikowanie”.

Zaproszeni goście składając gratulacje, kwiaty i upominki wyrazili głębokie uznanie i wdzięczność za pracę artystyczną, zaangażowanie w rozwój kultury, kontynuację regionalnych tradycji pieśni i obrzędów ludowych. Kierownik zespołu Danuta Nieckarz ze wzruszeniem wspominała początki działalności zespołu. Za 20-letnią działalność w zespole gratulacje otrzymały: Danuta Nieckarz, Maria Ozimek, Helena Nieckarz, Danuta Majewska, Janina Skrzypiec, Zofia Nieckarz, Krystyna Witko, Lucyna Ozimek i Anda Ozimek. W biesiadnym nastroju goście zostali zaproszeni na poczęstunek. Wszyscy Świętnie się bawili przy akompaniamencie muzyki przygotowanej przez członków zespołu muzycznego.

Stanisław Król

Miejska Biblioteka Publiczna w Cieszanowie wyróżniona

23 listopada na łamach dziennika „Rzeczpospolita” został opublikowany Ranking Bibliotek przygotowany przez redakcję we współpracy z Instytutem Książki. Miejska Biblioteka Publiczna w Cieszanowie znalazła się na **44 miejscu jako 5-ta w woj. podkarpackim**. Przygotowując ranking redakcja „Rzeczpospolitej” rozesłała ponad 2300 ankiet do wszystkich gmin wiejskich i miejsko-wiejskich oraz miast mających mniej niż 15 tys. mieszkańców. Uzyskała ponad 600 odpowiedzi. Kapituła rankingu opracowała metodę przyznawania punktów. W jej skład weszli: Grzegorz Gauden dyrektor Instytutu Książki, Tomasz Makowski dyrektor Biblioteki Narodowej, Elżbieta Stefańczyk prezes Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich, Andrzej Tyws przewodniczący Konferencji Dyrektorów Wojewódzkich Bibliotek Publicznych oraz Anna Cieślak-Wróblewska i Paweł Jabłoński z *Rzeczpospolitej*. Przyjęta metoda oceny bibliotek premiuje działania na rzecz jakości i komfortu obsługi czytelników, poziom czytelnictwa, liczbę kupowanych nowości i wydatki samorządu na utrzymanie placówki.

ZA

cd. ze str. 1

„Akowiec” z Narola

A potrafi to czynić w niezwykle interesujący sposób. W jego gawędziarskich relacjach jest groza tamtych lat, radość z odniesionych zwycięstw, smutek gdy młodzi chłopcy oddawali swe życie. Odpowiednia intonacja głosu, chwile milczenia i to spojrzenie kierowane gdzieś w nieprzeniknioną dal, w lata, w wojenną przeszłość. To wszystko robi niesamowite wrażenie na słuchaczach i przed oczami defiluje im partyzancki oddział, który za chwile ruszy do ataku.

Być może jego wiedza przekazana przez partyzantów byłaby zbyt jednostronna i subiektywna gdyby nie głębokie zanurzenie Jana w literaturę. Nie ma pozycji książkowej, nawet fragmentarycznie zahaczającej o historię tych stron, do której Wolańczyk by nie dotarł. Ich lektura jego relacjom pozwala dodawać nowe wątki i umiejscawiać je w szerszym tle. Nie sposób mówić o historii ziemi lubaczowskiej pomijając kwestię ukraińską. Jan jest również niezgłębionym znawcą tej mniejszości narodowej łącznie z kartą UPA. Potrafi zaprowadzić nas do miejsc w lesie gdzie był upowski bunkier czy ukraińska osada. Bliska i znana jest mu bogata wielowiekowa historia Narola. Z dumą opowiada chlubne karty jej dziejów.

Ale nie tylko bogatej tradycji rodzinnych stron jest on nosicielem. Jego wielką miłością jest przyroda a przede wszystkim roztoczańskie lasy. Bez przesady możemy powiedzieć, że od lat większość wolnego czasu spędza w leśnych kniejach. Jest tutaj w przedrannej ciszy jak też u zachodu słońca. W mroźne jak i deszczowe dni. W leśnej polance, jezioru, samotnej brzozie potrafi widzieć urokliwe piękno. To wielki leśny samotnik rozkochany w przyrodzie rodzinnych stron. Nie dziwi więc że jest wyśmienitym przewodnikiem po urokliwych miejscach narolskiej części Rostocza. Zna tu każdy zakątek, każdy ślad tradycji, każdą osobliwość przyrodniczą. Wycieczka z nim to lekcja z historii, botaniki, geografii i zoologii. Jednakże wyruszając z Janem na wycieczkę należy być przygotowanym na trud wspinaczek, przedzierania się przez leśne gąszcze, przechodzenia po zwalonych drzewach przez leśne strumyki. A wszystko po to aby dotrzeć do najbardziej urokliwych miejsc: na szczyty Rostocza, do źródeł Pauczy, na ukraiński cmentarz w lesie, do betonowego bunkru linii Mołotowa. Ambicją ego jest aby oprowadzani doznali jak najwięcej wrażeń.

Od kilkudziesięciu lat jest myśliwym. Odbiega jednak zdecydowanie od stereotypu myśliwego, który liczy się liczbą upolowanej leśnej zwierzyny. Dla niego myślistwo, to przede wszystkim kontakt z lasem, który jest jego królestwem. A o zwierzętach potrafi ciągnąć niekończące się opowieści. Należy do tych nielicznych, którzy w Puszczy Solskiej natknęli się na wilki i rysie. Nieprzypadkowo stał się gorącym szermierzem ochrony przyrody.

Ten „Akowiec” to chodząca encyklopedia o ludziach z tych stron. Wystarczy rzucić jakieś nazwisko a już spłyną fakty z jego życia. A z wieloma znaczącymi osobami z ziemi narolskiej, które w kraju odniosły sukces Jan jest w zażyłych kontaktach. Warto podkreślić jego przyjazny otwarty stosunek do ludzi. Sprawia mu wyraźną przyjemność gdy potrafi zaspokoić ich ciekawość, wzruszyć zmusić do refleksji.

W każdej gminie powinien być taki Jan Wolańczyk. Człowiek z pasją, będący skarbnicą wiedzy lokalnej historii i przyrody w tym najbardziej frapującym wydaniu z przyjaznym stosunkiem do ludzi. Nic tak mocno nie działa na emocje, wyobraźnię ludzi jak żywy, bezpośredni przekaz.

Marian Ważny

*Z okazji Świąt i Nowego Roku
zadowolenia i radości wżyciu,
dużo dobroci od ludzi –
naszym Czytelnikom i Sympatykom
życzy Redakcja*

SŁOWNIK GWARY CIESZANOWSKIEJ

SŁOWNIK GWARY CIESZANOWSKIEJ



Centrum Kultury i Sportu w Cieszanowie jest wydawcą niezwykle cennej książki „Słownik gwary cieszanowskiej”. Jej autorka Janina Szajowska w słowie wstępnym trafnie zauważa: „Dostrzegłam, że stare gwarowe wyrażenia mają swój urok i pewien styl. Są bardzo celne i trafne. Zawierają swoisty posmak – surowy jak świeżo zorana ziemia, niekiedy przemieszana z obornikiem. Są twarde, chropowate jak ciężki trud i praca naszych dziadków i ojców o czym dzisiaj młodzi ludzie nie mają nawet wy-

obrażenia. Jest w nich trochę rubasznego dowcipu, kpiny, a nawet pewnej poetyki. Jest wnikliwa, skrótowna charakterystyka cech ludzkich.”

To tylko cieszanowianka Janina Szajowska – osoba z niezwykłym wyczuciem językowym, posługująca się piękną literacką polszczyzną i przyjaźnie usposobiona do ludzi, mogła zgromadzić tak imponujący, unikalny i cenny zbiór słów. Autorka uczyniła to w szczególnie ważnym momencie: przed inwazją mediów i gdy jeszcze tradycja wyznaczała wzorce życia. Inspiracją dla niej do podjęcia się tego dzieła były zauważone już w dzieciństwie osobliwości językowe. „Kiedy rozpoczęłam naukę w szkole w 1928 roku zauważyłam, że nauczyciele mówią do nas trochę inaczej, aniżeli mówi się w naszych domach” – pisze w słowie wstępnym. A od 1960 roku zaczęła spisywać gwarowe słówka i wyrażenia jako ciekawostkę lokalną. „Notowałam każde zasłyszane słowo. Moje dzieci też się w to włączyły.” Praca ta trwała przez ponad czterdzieści lat.

Czas rozpoczęcia spisywania przez Janinę Szajowską gwarowych słów przypada na moją młodość. Wierując słownik ze wzruszeniem przypominam sobie owe perełki, trafne określenia, powiedzonka. Czyż nie dosadne były znajdujące się w książce takie słowa jak bałakać (rozmawiać), bimbać (lekceważyć kogoś), dziurgać (dokuczać), grajcare (pieniądz), pijara (pijak), piczaryca (rosła, rozłożysta kobieta), podlizajko (lizus, pochlebca), rajwach (wrzawa) szczęznąć (zniknąć), spindolić (zepsuć). Szczególnie obszernie i słusznie autorka potraktowała powiedzonka, które jak pisze – są kopalnią lapidarnych określeń, dowcipnych, rubasnych, czasem prostackich: Czepił się jak wesz kożucha (natręt). Dyndać sobie ze wszystkiego (lekceważyć sobie), zejść na psy (stracić honor), wyrzyć jak wściekły pies (zionać złością), pytlować pyskiem (plotkować, obmawiać), młócić pierogi (zjadać pierogi). Janina Szajowska podaje też popularne wówczas przezwiska, które jak słusznie zauważa „są pieczęcią przybitą na człowieku w opinii środowiska”. Oto niektóre z nich: Cerowany, Baniaczek, Helikopter, Kocuruno, Pizio, Szwajswany, Siusio, Kukulka, Poderżnięty. Nie omijano też kobiet, oto przykłady: Swarniczka, Wściekła Józia, Aksamitka, Paniusia, Perelka.

W końcowej części książki mamy podane dawne nazwy gwarowe mieszkańców okolicznych miejscowości. Itak na mieszkańca Rudy Różanieckiej mówiono: rudniak, Chotylubia – chytylubiec, Lublińca – lublińczan. Mamy też nazwy dróg polnych: Wolańska Droga, W Grabach, Koło Krzyża. Są też nazwy dawnych miejsc do kąpieli na rzece Brusieńce: Za Wolą, Na Moście, Krzywula. Ciekawe są nazwy łąk i pól: Buszcza, Zakęcina, W Gaju, Niwa, W Olszynie, Na Czeresniach, Na Bagnie.

Wierując słownik ciśnie się smutna refleksja. Jak w przeciwnieństwie do czasów sprzed półwiecza ubogi jest obecnie nasz język. Wi-

dać to szczególnie u młodej generacji, gdzie obowiązuje język skrótów okraszanych łaciną. Inwazja telewizji i innych mediów, wzrost ruchliwości społecznej pozbawił nasz język lokalnych osobliwości. Ponadto nastawiamy się na odbiór i coraz mniej mówimy. Niegdyś było odwrotnie. Kwitło, życie towarzyskie a nieodłącznym jego atrybutem były rozmowy. Ktoś kto potrafił posługiwać się bogatym językiem, umiał kwieciste mówić wzbudzał zainteresowanie i zabiegano o jego towarzystwo.

Wydana książka to również hołd złożony pokoleniom które były przed nami. To cenny dokument zaświadcza, że społeczność Cieszanowa, oprócz bogatej historii, wyróżniała się również barwnym soczystym językiem.

Marian Ważny

Szacunek dla poprzedników

Mój krajan mieszkający we Francji jest urzędnikiem pracującym w samorządzie małego miasteczka. Będąc w odwiedzinach zwiedzaliśmy m.in. w jego regionie merostwa w małych miastach. Wszędzie w gabinetach merów, w salach posiedzeń długie rzędy portretów. Na moje zapytanie kim są te osoby usłyszałem, że to poprzednicy obecnych władz. Nawet ci którzy miastem zarządzili przed wiekiem. Tłumaczono mi, że to wynika z pietyzmu dla tradycji, szacunku dla poprzedników, którzy tu pracowali i mają swój wkład w rozwój miasta i lokalnej społeczności.

W Lubaczowie w gabinecie burmistrza nie oświadczyś żadnego portretu poprzednika. Wdałem się w tę sprawę w dyskurs z lubaczowskimi samorządowcami. Trudno – jeden z nich powiedział – aby żywym wieszać portrety. A tym co odeszli na tamten świat? – zagadnąłem. Co włodarzami z czasów PRL? Zdziwił się. A dlaczegoż by nie – odpowiedziałem. Wśród osób rządzących wówczas miastem były też jednostki wybitne. To im w dużej mierze Lubaczów zawdzięcza swój cywilizacyjny awans. Wielu z nich w niemałym trudzie podejmowało ważne liczące się inwestycje, mobilizowało ludzi do wielkich czynów. Powstały nowe osiedla mieszkaniowe, szereg zakładów produkcyjnych a wśród nich „zamki” zatrudniające prawie 1000 osób. Nikt nie miastu nie podarował w prezencie. Wszystko osiągnięto dzięki determinacji i zapobiegliwości ludzi stąd. Nie brakło też światłych włodarzy miasta w czasach przedwojennych. A przecież gabinet burmistrza to reprezentatywne miejsce. Włodarz miasta przyjmuje tu różne delegacje, osobistości w tym i samorządowców z innych krajów.

Brak portretów poprzedników skłania do głębszej refleksji. Otóż w pracy samorządów nie ma pietyzmu do tradycji. Nowy burmistrz, wójt zapomina o poprzednikach a nawet bywa tak, że ich dyskredytuje. Nie chce rządzić w jego cieniu, podejmować zadania przez niego rozpoczęte. Przede wszystkim zainteresowany jest dokonaniem na własne konto. Bo wiadomo co cztery lata wybory. Trzeba się wykazać własnymi dokonaniem, a nie akcentować również zasługi poprzedników. Praktyka ta w dłuższej perspektywie nie jest korzystna dla sprawujących władzę. Odcinając się od swych poprzedników przekreślają się również u swoich następców. A u niektórych samorządowców powoduje to brak motywacji do osiągnięć. Jako argument podają: - Przecież i tak o tym nikt nie będzie pamiętał! A przykładów na potwierdzenie tej opinii nie brakuje. Tak prawdę mówiąc w żadnym samorządzie w powiecie nie ma praktyki aby aktualny wójt, burmistrz współpracował ze swym poprzednikiem, korzystał z jego doświadczeń. Należy jednak przyznać, że często wina leży po obu stronach.

Oczywiście nie tylko o portrety tu chodzi. Liczy się klimat, brak pamięci o wybitnych postaciach, którzy byli przed nami i którym w pewnym stopniu zawdzięczamy, że żyje nam się lepiej. Mam tu na myśli nazwy ulic, obiektów użyteczności publicznej jak też poprzez wydawnictwa, lokalne media popularyzację takich postaci. A rządzący winni pamiętać, że nie będzie pamięci dla nich jeśli nie uczynią oni pierwszego kroku w upamiętnieniu tych którzy byli przed nimi.

Witold Zaremba

BYŁA NAUCZYCIELKĄ W CIESZANOWIE (8)

Moi synowie w kuchni urządzili jasełka. Koledzy i koleżanki brały w nich udział. Goście, którzy licznie dopisali musieli wstęp opłacać (5 gr.) na pokrycie kosztów (bibułki). Z braku miejsca niektórzy musieli siedzieć na piecu. Z kolegami bawili się też piłką na podwórzu albo na Targowicy. A kiedy młodzież z seminarium urządziła boisko sportowe to cały ruch tam się odbywał. Bawili się też w wojsko i tak gonty na strychu, które ojciec sprowadził aby połatać dach poszły na karabiny i szable. Maszerowali ulicami uzbrojeni u śpiewali pieśni żołnierskie, najczęściej marsz szwoleżerów. Śmiałyśmy się z tego patykowego wojska, a sąsiadka „babcia” matka doktora Ciećkiewicza mówiła: oj, oj, to te bajstry na wojnę wróżą.

Latem jak było ciepło, gorąco nasi chłopcy i z sąsiedztwa używali kąpieli w Brusience. Marian z patyka robił sobie wędkę, które z czasem udoskonalał i łowił ryby. Kuchnia nie miała z nich pożytku, bo zwykle były drobne, więc sprzedawał je w sklepiku u Jankla i za pieniądze kupował nowe haczyki i linki. Raz przyprowadził chłopca, który miał parę większych ryb, więc kupiłam karpia i pływał w miednicy.

W dalszej części pamiętnika autorka omawia sprawy rodzinne. Pisz o swoich dzieciach. Trafiają do gimnazjum w Jarosławiu, zdają maturę a najstarszy z nich Janek podejmuje studia na Politechnice Lwowskiej. Pisz o kłopotach zdrowotnych męża. Z kolei opisuje grozę zbliżającej się wojny.

Rok 1939. 1 września Niemcy uderzyli na Polskę. Nauki w szkole nie rozpoczęto. Kierownik szkoły p. Kaliciński został powołany do wojska. Przyszła też do mnie moja służąca, której męża powołano do wojska, bo nie chciała iść na wieś do rodziny, „wolę być u pani” – powiedziała, zostawiłam ją. Do znajomych p. Jarockich przyjechała rodzina ze Śląska brat z żoną i dzieckiem a także brat z rodziną z Warszawy. Myśleliśmy, że Cieszanów cicha miejscina, nie przy głównym trakcie, jest bezpieczna. Niestety 7 września nadleciały ptaki żelazne, bombowce niemieckie i 27 bomb spadło na cichy Cieszanów. Byłam wówczas w domu sama, mąż w urzędzie a synowie ze służącą na łące pod Lublińcem przy suszeniu siana. Wysłałam z mieszkania i zobaczyłam na tle granatowego nieba te srebrne ptaki, jak klucz żurawi leciały ku nam od strony Lubaczowa, myślałam, że to polskie samoloty, bo wcześniej byli wojskowi Polacy co wyznaczyli na polach tzw. Buszczy miejsce na lotnisko, a tu nagle bum! Bum! Jakaś kobieta wiejska przestraszona, z ulicy wpadła na podwórko i przykucnęła za bramą. Zawołałam ją do mieszkania, obie jesteśmy przerażone. -Pani co to jest? – pyta. A no mówię – wojna a bomby lecą. Część budynku szkolnego i mieszkanie kierownika zwalone. Matka z dziećmi przed nalotem schronili się w piwnicy, dzięki temu ocalali. Koło nas na polu za stodołą sąsiada był głęboki lej gdzie upadła bomba. Inne spadły na pola lub na stodoły gospodarzy. Mój mąż przybiegł do domu zobaczyć co się ze mną dzieje. Synowie ze służącą wrócili z łąki, widzieli tylko z dala nalot bombowców na Cieszanów, ale do nich nie doleciały, na łąkach ocalali ludzie.

8 września Wolańczyk, który wozził wozem pocztę do Lubaczowa zabrał mnie i ze swoją rodziną zawiózł nas do lasu pod Niemstowem. Tam przybywaliśmy cały dzień i nocowałam na leśniczówce u państwa Brunerów. Gdy wróciłam do domu, ze Śląska przybywali na motorach i rowerach młodzi chłopcy i opowiadali, że Niemcy zabierają chłopaków i mordują ich. Mąż dostał polecenie od władz aby ewakuować urząd, wszystkie dokumenty służbowe oraz kasę spakować i odstawić do Lwowa. Tymczasem nadeszła radiowa wiadomość, że Lwów jest bombardowany. Długo zastanawialiśmy się co robić. Były 3 fury (forszpany) przeznaczone do ewakuacji urzędu i pracowników. Mogliśmy nie jechać, ale ponieważ Ukraińcy sprzyjali Niemcom, a mój mąż w 1918 roku brał czynny udział w walce z Ukraińcami, więc obawialiśmy się ich zemsty a wreszcie chodziło też o naszych synów, aby ich Niemcy nie schwytali i nie zamordowali. Zapakowaliśmy co się dało do dużego kosza, głównie bieliznę i część pościeli, lepsze ubrania do walizek jak też inne różne rzeczy a nawet mąkę, kaszę, cukier i inne artykuły żywnościowe, a było nas 6 osób i furman. Na dwa inne wozy umieścili się pracownicy biura a na jednym kasa żelazna.

Maria Studencka z Bernackich

Związek Strzelecki w Lubaczowie (13)

Od Piłsudskiego i Pakosza do Kościuszki

W całej Polsce na skutek narastających nastrojów patriotycznych spotegowanych wyczuwalnym w polityce i wzmagającym się zagrożeniem ze strony hitlerowskich Niemiec, już od początku 1939 r. odbywały się koncentracje i zjazdy oddziałów Związku Strzeleckiego. W 1939 r. Związek ten liczył w Polsce ok. 500 tys. członków.

W miejscowej prasie („Maszerować” z 22 III 1939 r.) Horyńcowi za przykład stawiano rozwój prac na budowie Domu Strzeleckiego w Lubaczowie, gdzie budowę zaczęto 6 lat później niż w Horyńcu „a już jest na ukończeniu”. Jednak pomimo tak dobrych postępów, wydarzenia ko-

lejnych miesięcy nie pozwoliły budowy dokończyć.

O nastrojach mówiono, ale jednak nie wierzono w wojnę a jeszcze tym bardziej w tak rychłą, światową. Gdy 1 IX wybuchła, szybkimi zmianami frontu i szybkim zbliżaniem się nieprzyjaciela do Lubaczowa (12

IX Niemcy zajęli Lu-

baczów) zaskoczyła wszystkich. Np. mistrz budowlany Stanisław Salik z ul. 3 Maja nie zdążył otrzymać zapłaty za prowadzenie budowy „Domu Strzeleckiego”. Wówczas, we wrześniu 1939 r. Dom Strzelecki był już w stanie surowym. W X 1939 r. budowla ta była już pokryta dachem. Z uwagi na nieskończony budynek, nie nadawał się on jeszcze do użytkowania. Sowieci którzy weszli do Lubaczowa 26 IX, urządzając tzw. mityng (przymusowe zebranie mieszkańców, by m.in. powiedzieć, że „Lubaczów wrze bude ruskij”) organizowali go w jednym jedynym miejscu które wówczas do tego się nadawało, tj. w sali kina Michała Markiewicza przy ul. Tartacznej. Jak opowiada Jerzy Salik z Lubaczowa (syn Stanisława)... „W tym czasie sąsiedni budynek gimnazjum (obecnie Liceum) również był jedynie w stanie surowym, i był budynkiem jednopiętrowym. Dopiero po wojnie w latach 1957-1959 dobudowano II piętro, w latach 1963-1965 część łączącą z budynkiem kina a następnie w latach 1968-1972 i dalszych liceum zyskiwało kolejne nowe pomieszczenia i halę.”

Wojna i kolejne okupacje to także wyszukiwanie i eliminowanie przez okupanta byłych wojskowych, członków wszelkich organizacji i ruchów patriotycznych, w tym również członków Związku Strzeleckiego. To wyłuskiwanie działaczy „Strzelca” było w okresie okupacji niemieckiej, sowieckiej i działań UPA bardzo widoczne. I tak np. w 1940 r. został aresztowany i więziony przez NKWD - Stanisław Patałuch z Woli Wielkiej, komendant miejscowego „Strzelca”, wojnę przeżył (M. Argasiński [MA.], Okupacja sowiecka w powiecie lubaczowskim [OSWPL], Lubaczów 2005, s. 138); w tymże 1940 r. został aresztowany i zamord. przez NKWD w Wólce Horynieckiej aktywista organizacji „Strzelec” - Józef Haliniak (W. Sobocki [WS.], w: Jarosławski Kwartalnik Armii Krajowej [JKAK] nr 9/1993); aresztowany przez NKWD i 27.01.1940 r. skazany został na zesłanie, z którego nie wrócił - Jan Witko z Miłkowa, s. Marcina, ur. w 1911 r., komendant „Strzelca” w Miłkowie [OSWPL] s. 115); 8.02.1940 r. aresztowany został przez NKWD pod zarzutem udziału w wojnie 1920 r. oraz działalności w „Strzelcu” - Karol Bauman, nauczyciel z Karolówki, s. Jakuba i Marii z Mederów, ur. 31.10.1892 w Karolówce, wojnę przeżył (MA., OSWPL, s. 134); 9.04.1940 r. aresztowany został przez NKWD i zamord. 26.06.1941 r. w więzieniu we Lwowie - Tadeusz Todt, s. Jana i Anieli z Wolańskich, ur. 18.02.1911, nauczyciel Szkoły Powszechnej w Chotyliu, opiekun ZS. w Chotyliu (MA., OSWPL, s. 62); 1.01.1944 r. w niemieckim obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu został przez Niemców zamordowany - Michał Hejnowicz ur. 18.08.1909 r. (35 lat), komendant „Strzelca” w Horyńcu (WS., w: JKAK nr 9/1993); w 1946 r. został zamordowany przez UPA w Ułazowie - Józef Pokrywka s. Michała ur. 15.02.1913 r., były komendant „Strzelca” (WS. w: JKAK nr 11/1994, s. 11).

Inne przykłady to: Władysław Argasiński (brat Józefa) aresztowany i zamord. przez Ukraińców i Niemców w sierpniu 1941 r. w egzekucji w lesie w podlubaczowskich Niwkach; Zygmunt Czajkowski syn Stanisława aresztowany w 1940 r. i zamord. w 1941 r. przez NKWD we Lwowie; Zygmunt Górecki z ul. Unii Lubelskiej rozstrzelany na dziedzińcu lubaczowskiego więzienia (za budynkiem Sądu), pochowany w mogile na Niwkach; Leopold Przybylski syn Stanisława aresztowany w 1940 r. i więziony we Lwowie, zamordowany przez NKWD w 1941 r.; Marian Weinert syn Karola aresztowany i więziony we Lwowie, zamord. przez NKWD w 1941 r. Wielu z uwagi na swoją organizacyjno - patriotyczną przeszłość w obawie przed aresztowaniem przez obu okupantów (sowieckiego i niemieckiego) musiało uciekać z Lubaczowa, jak np. Kazimierz Jankiewicz z ul. 3-go Maja, pomocnik kancelaryjny lubaczowskiego Sądu, komendant Oddziału Związku Strzeleckiego w Lubaczowie. [szerzej w art. „Lubaczowscy Strzelcy”, w: Kresowiak... nr 2/2011]

Wspomina Marian Ważny: „Zahuję teraz, że w młodym wieku nie robiłem notatek z bardzo interesujących relacji starszych ludzi. I tak - mężem siostry mojego ojca był Jan Antonik z Młodowa, aktywny członek „Strzelca” w Lubaczowie. Często opowiadał o swojej działalności w tej organizacji. A do swej dziewczyny, czyli przyszłej żony na Dolinach (za Kowalówką) przyjeżdżał na rowerze i miał zawsze broń (nie pamiętam jaką, chyba pistolet). Z tego powodu był wielką sensacją na wsi. W czasie wojny trafił na Sybir a stamtąd do Armii Andersa i po wojnie do końca życia pozostał w Anglii, odwiedzając tylko kraj.”



Wracając do Domu Strzeleckiego... W czasie okupacji w tym niedokończonym budynku (naprzeciw dawnej ul. Tartacznej) okupant założył magazyn zbożowy. W czasie okupacji niemieckiej przetrzymywano tu aresztowanych i przeznaczonych na wywóz do Niemiec. M.in. w czerwcu 1942 r. żandarmeria niemiecka z policją ukraińską aresztowała, pobiła i osadziła tu czasowo trzy osoby z komisji kontyngentowej, która stanęła w obronie wyznaczonych na roboty do Niemiec z Wólki Krowickiej, przez co sama komisja została przeznaczona na wywóz, została jednak wykupiona [M. Argasiński, AK-WiN..., Lubaczów 2000].

Potem po wojnie przez pewien czas budynek ten pełnił funkcję pierwszego Domu Kultury ze sceną, a następnie od 1949 r. w budynku tym przez dziesiątki lat mieściło się kino „Melodia”. Do niedawna przez parę lat była tu restauracja „Strzecha u Lecha”. Teraz budynek od ok. 2 lat stoi pusty, prawdopodobnie z przeznaczeniem dla liceum (aula itp.). Trwa remont [na fot. od lewej: liceum, dawny Dom Strzelecki i naroże biblioteki. I tak historii kolejną losu, budynek projektowany jako Powiatowy Ośrodek Przeposobienia Wojskowego i Wychowania Fizycznego im. Józefa Piłsudskiego, budowany jako Dom Strzelecki im. gen. Michała Pakosza, prawdopodobnie zostanie częścią kompleksu obiektów Liceum Ogólnokształcącego im. Tadeusza Kościuszki.

Adam Szajowski

MAGISTER SZUKA PRACY (2)

Pracy szukałem nadal. Po kilku tygodniach dowiedziałem się o wolnym etacie w kolejnym sklepie. Wprawdzie właściciel zarzucił mi, że nie mam doświadczenia w roli sprzedawcy ale zostałem przyjęty. Oczywiście nie była to praca moich marzeń. Przed ludźmi kryje swój wstyd. Gorycz sąsiaduje z wściekłością. Po co do cholery były lata nauki, szczytowanie się tym, że studiuję na uniwerku, że mam bardzo dobre oceny, że przez pięć lat oddychałem atmosferą wielkiego miasta. Czy nie lepiej było wybrać zawód? W tej chwili zasuwałbym po Lubaczowie własnym BMW i być może miałbym już własne lokum. I czy nie lepiej było wybrać uczelnię w Jarosławiu albo Tomaszowie. Wówczas byłbym blisko Lubaczowa, można by było studiując rozglądać się szukać znajomości aby znaleźć pracę. Tak postąpiło kilku moich znajomych i wygrało!

Niestety praca w sklepie coraz mniej mi się podoba. I to niekoniecznie dlatego, że stoję za ladą. To już zaakceptowałem. Tylko zachowanie właściciela mnie wkurza. Zazwyczaj gdy jesteśmy w swoim gronie mówi do mnie: panie Tomku. Natomiast gdy są klienci zaczyna z innej beczki. - Magister trzeba przetrzeć okna! Magister wypadało by pozamiatać! Magister dlaczego tu taki bałagan! Jak się dowiedziałem gość ten już na pierwszym roku studiów został wylany i chyba dlatego tak odreagowuje. Poza tym przy różnych okazjach demonstracyjnie daje do zrozumienia, że bardziej jest zadowolony z drugiego sprzedawcy, który jest tylko po zawodówce

- Wobec klientów jest on niemalże na kolanach a u ciebie widać pewną wyniosłość – podkreśla. Niestety sprzedawca ten nie wyróżnia się inteligencją, ale widząc wsparcie szefa, uważa, że to tylko ja jestem od sprzątnięcia sklepu. Powiedziałem właścicielowi co o nim myślę i odszedłem.

Trafiłem na krótko do kolejnego sklepu. Tutaj z kolei właściciel wjechał mi na ambicje. W związku z tym, że kondycja ekonomiczna jego firmy była coraz gorsza, ratunku szukał we mnie - Magister wymyśl coś! Masz głowę naszpikowaną wiedzą podpowiedz jaki marketingowy manewr skutecznie abyśmy nie poszli z torbami! Oczywiście byłbym w stanie sklep dźwignąć ale musiałbym mieć wolną rękę. Kosztowało mi to czasu ale opracowałem spójną strategię promocyjną. Jej realizacja z pewnością pozwoliłaby firmie wyjść z dołka. Między innymi akcent położyłem na reklamę wizualną. Zaproponowałem kilka plansz w najbardziej ruchliwych miejscach Lubaczowa. Moje sugestie nawet właścicielowi się podobały. Ale osłupiałem gdy usłyszałem abym się zabrał za malowanie owych plansz! Gdy powiedziałem że prace te należy zlecić Agencji Reklamowej odparł, że przecież mnie płaci.

Rodzi się myśl aby podjąć własną działalność gospodarczą. Słyszysz: skończyłeś studia, rusz intelektem i wymyśl coś. Wokół masz mnóstwo przykładów, że ludzie bez kapitału odnieśli sukces! Przyznam więc sobie taką wizję. Mieć własną firmę i gwizdać na wszystko! Ale co tu w Lubaczowie wymyśleć? Handel, sklep, hurtownia odpada. Nie sposób się z czymkolwiek tu wcisnąć. Konkurencja jest zabójcza. Branża spożywcza, odzieżowa, komputerowa odpada. Poza tym otwierając sklep trzeba mieć kapitał. A u mnie kieszenie puste. Myślałem też o takim sposobie samorealizacji aby wykorzystać zdobytą wiedzę. Przez moment zainteresowałem się myślą utworzenia biura matrymonialnego, biura pisania podań, nawet agencji reklamowej. Ale po bliższej analizie doszedłem do wniosku, że sukces byłby wątpliwy.

Stopniowo tracę cel w życiu. Chwieje się mój system wartości. Ambicje już dawno schowałem do kieszeni. Swoją drogą fatalnie postąpiłem zostając w Lubaczowie. Większość moich kolegów i koleżanek wybrała jakąkolwiek inną miejscowość byle nie Lubaczów. Wielu z nich wprawdzie wykonuje takie czynności jak ja, jednakże zjawiając się w Lubaczowie mogą szpanować mówiąc: pracuję w firmie handlowej, jestem menadżerem, odpowiadam za marketing. Nikt przecież tych informacji nie zweryfikuje.

W nieco lepszej sytuacji są moje koleżanki po studiach. O wiele lepiej się aklimatyzują w roli sprzedawców. Za ladą są miłe, uprzejme. Elokwencją zdobywają uznanie właścicieli i klientów. Chociaż w szczytch rozmowach nie kryją swej frustracji i marzeniem ich jest za wszelką cenę wyrwać się z tej roli. Marzy im się praca biurowa. Obojętnie jaka byle za biurkiem, byle móc powiedzieć: - jestem pracownikiem umysłowym!

Jakże dumna jest moja koleżanka, która będąc magistrem została sekretarką! To nic, że jej rola ogranicza się do robienia herbatek i mycia szklanek, do odbierania telefonów, roznoszenie korespondencji, godzenie się na podszczypywanie szefa, ale może się chwalić, że pracuje w biurze! I czy do tej roli niezbędnych było pięć lat studiów?

Śmiesz mi filozofia wielu koleżanek po studiach. Praca w charakterze sklepowej to katastrofa. Ale rola sekretarki, robienie jakiegokolwiek herbatek, godzenie się na podszczypywanie i roznoszenie korespondencji to już sukces! Można wykonywać nudne ogłupiające zajęcia prowadzące się do przekładania papierków, pisanie non stop takich samych kwitów ale to sukces! Jest się bowiem zakwalifikowanym do pracowników umysłowych.

Przyznaję rozczarowany jestem obojętnością i brakiem najmniejszego zainteresowania władz Lubaczowa, powiatu takimi jak ja. Rozumiem, że możliwości samorządów w tym względzie są bardzo ograniczone. Ale tym bardziej byłyby w cenie nawet skromne gesty jak np. co roku praca w starostwie, Urzędzie Miasta dla najlepszego, najzdolniejszego studenta stąd. Albo nieformalna umowa tego typu: - Będzie pan na zasadach wolontariatu angażowany do różnych prac społecznych, ale gdy Kowalski odejdzie na emeryturę ma już pan zaklepane jego miejsce. Tymczasem na naszym miejskim i powiatowym podwórku stawka jest przeciętność. Prędzej, czego dowodzi starostwo, pracę w Lubaczowie można dostać kończąc uczelnię w Jarosławiu czy w Stalowej Woli niż renomowaną uczelnię w Warszawie, Krakowie czy Rzeszowie. Nie dziwny się więc, że wysokie tu bezrobocie, że przedsiębiorcy omijają ten teren, że w kraju cicho o tym mieście i powiecie. Młodzi, prężni dynamiczni nie mają tu szans.

Przekonuje się, że dyplom uczelni przestał być gwarantem pracy. A jeśli już się ją znajdzie to jest ona nisko płatna i zdecydowanie poniżej kwalifikacji oraz oczekiwań. Winne są fabryki studentów jakim są nowo powołane uczelnie.

Widzę, że absolwenci średnich szkół zawodowych mają się zdecydowanie lepiej od absolwentów szkół wyższych. Okazuje się że lepiej mieć konkretny fach w ręku niż studia wyższe. Wyczytałem w „Rzeczpospolitej”, że co roku wychodzi z uczelni 300 tys. absolwentów z czego około 35 tys. jest bez pracy. Należy dodać, że większość z nich gdy nawet pracuje to nie zgodnie ze swoimi kwalifikacjami. A więc zatrudniana jest na śmieciowych umowach, za niskie wynagrodzenie, a więc bez większych szans na własne mieszkanie, regularne dochody i stabilizację. Niestety autor stwierdza, że Polska 2011 roku nie jest krajem dla młodych ludzi.

Kusi mnie aby czym prędzej przysnąć stąd. Pozostaje mi wyjazd w świat do którego się już szykuje.

Trzeba nie lada siły woli aby się nie poddać, machnąć na to wszystko ręką i szukać ratunku w alkoholu. Kilku moich kumpi spotkał już taki los. Ich argumentacja jest zasadna. Ile można patrzeć na rozgoryczonych rodziców, że mają magistra na utrzymaniu? Jak długo można odkładać czas na życiową stabilizację?

Notował Marian Ważny

KRESOWIAK GALICYJSKI

Adres redakcji: 37-611 Cieszanów, ul. Leśna 9, tel. kom. 661 631 213

Wydawca: Wydawnictwo Kresowiak, Rzeszów, ul. Zbyszewskiego 8/25, tel. (017) 856 86 99

Redaktor naczelny: Marian Ważny

Zastępca redaktora naczelnego: Lidia Świder

Współpracują: Waldemar Balda, Wiesław Kolodziej, Renata Piątek, Tomasz Róg, Adam Szajowski, Zbigniew Wróbel, Jan Zuchowski, Edward Dziadula, Janina Szajowska, Ryszard Kaczka, Piotr Zaborniak.

e-mail: kresowiakgalicyjski@wp.pl

Prenumeratę Kresowiaka Galicyjskiego przyjmują jednostki „Ruch” S.A.

Druk: Drukarnia KOLOR-DRUK, 37-500 Jarosław,

ul. Podzamcze 28b, tel./fax: (016) 621 62 31, www.kolordruk.com.pl

e-mail: kolordruk@onet.pl

Zawiły ludzki los

Władysław Sobań – urodził się 27.01.1925 roku w Rudce w pow. lubaczowskim w rodzinie chłopskiej jako piąte, najmłodsze dziecko Marii i Józefa. **Zmarł 7.10.2011** roku w Rothenbergu / Niemcy/. Pochowany został **13.10.2011** roku na cmentarzu parafialnym w Nowym Bruśnie.

Rudka – to nie istniejąca dziś wieś, położona przy drodze między Chotylubiem a Nowym Brusnem. Wieś licząca wówczas około 110 gospodarstw została spacyfikowana przez sotnie ukraińskich nacjonalistów rankiem 19.04.1944 roku. Budynki mieszkalne i zabudowania gospodarskie zostały doszczętnie spalone a 62 mieszkańców w tym kobiety i dzieci poniosło męczenną śmierć. Wieś nigdy się nie dźwignęła. Jedynymi znakami po istniejącej tam kiedyś wsi jest rodzinne gospodarstwo Leszka Wójciaka, które odziedziczył po rodzicach i pomnik wybudowany w 50 rocznicę jej unicestwienia. Mieszkańcy, którzy przeżyli ten ranek rozproszyli się i zamieszkali w okolicznych wsiach. Najwięcej ich zamieszkało w Starym Lublińcu.

Los Władysława Sobania podobny jest do losu wielu jego rówieśników żyjących w tamtym czasie i w tamtym miejscu. Jego los, to los pełen dramatycznych przeżyć człowieka, którymi można by oddzielić wiele osób i każda uważałaby, że życie jej było bardzo trudne. A mimo to Władysław zachował do końca swego życia pogodę ducha, wielką ufność i życzliwość wobec ludzi.

Jako kilkuletni chłopiec stracił ojca – pracowitego, odpowiedzialnego i troskliwego opiekuna. To wtedy po raz pierwszy zawił mu się świat. Samotna matka nie była w stanie prowadzić dobrze prosperującego gospodarstwa. Władek był potrzebny w domu. Musiał przecież zarabiać i pomagać matce. Przerwał więc naukę i swoją edukację szkolną zakończył na trzeciej klasie szkoły powszechnej. W lecie pasł krowy. W jesieni i w zimie pomagał sąsiadom w różnych pracach na obszyciu gospodarskim, w polu i w lesie. W zasadzie wychodził z domu rano a wracał wieczorem. Pracował najczęściej za jedzenie, ale niekiedy przynosił też kilka złotych. Ich dobrze do tej pory funkcjonujące gospodarstwo rolne po śmierci ojca zaczęło podupadać i krótkim czasie zamieniło się w ruinę. Do ich domu coraz częściej zakradała się bieda. Mimo, że mieszkali na wsi w jego rodzinie, nie tylko w okresie przedwojennym o zboże na mąkę, ziemniaki, kaszę i jajka wcale nie było łatwo. Trudna sytuacja w ich domu znacznie się pogorszyła po wybuchu wojny i zajęciu Rudki przez Sowieców. Graniczne druty odcięły wówczas wieś od Cieszanowa, Narola i innych miejscowości w których do tej pory można było podjąć służbę lub uzyskać dorywcze zatrudnienie i zarobić pieniądze.

Bez perspektyw, bez szans na poprawę doli rodziny i własnego losu, by w było w domu mniej osób do żywienia i ubierania, Władek marzył o przejściu przez graniczne druty na drugą – niemiecką stronę. Tam po tej drugiej stronie mieszkali bliscy kuzyni mamy i taty,



którzy w najtrudniejszych momentach wspierali ich znacząco. Ale było to tylko marzenie chłopca mającego zaledwie 14 lat. Wielokrotnie wzdłuż granicy jeździł wozem z sąsiadami do Łowczy i obserwował jak nocą i dniem pilnowana jest granica. Widział, jak co kilkadziesiąt metrów uzbrowieni wartownicy z psami strzegą zadrutowanego pasa ziemi. Kiedy patrzył na tę drugą stronę wspominał ciotkę – siostrę mamy i kuzynów za którymi tęsknił. Zadumany, wpatrzonej w dal, jadąc furmanką ze Szczygłem kolejny raz wzdłuż granicy, tuż przed Łowczą dostrzegł, że jadąca przed nimi furmanka z sianem nagle przewróciła się na graniczne druty. Strzegący granicy żołnierze zaczęli skupiać swoją uwagę na zaistniałym zdarzeniu i opuszczając swoje stanowiska przemieszczając się w kierunku przewróconej furmanki. Władek dostrzegł w zaistniałym zamieszaniu dla siebie szansę, uznał, że jeżeli ma przejść na drugą stronę, musi to zrobić teraz, albo być może już nigdy. Zaryzykował – zeskoczył z wozu, wskoczył między druty i po chwili był już na drugiej stronie. Kiedy przebiegł kilkadziesiąt metrów, wskoczył do rowu, którym szybko oddalał się od granicy. Za sobą słyszał tylko ujadanie psów i komendy zdeorientowanych wartowników – pastoj, pastoj.

22.06. 1940 roku pozostawił bez pożegnania matkę, braci i siostry. Niektórych z nich nie zobaczył już nigdy. Władek dotarł do ciotki mieszkającej z rodziną w Płazowie. Ciotkę wizyta nieoczekiwanego gościa nie tylko zaskoczyła, ale nawet przeraziła. Niemcy bowiem dość rygorystycznie egzekwowali od mieszkańców obowiązek informowania władz okupacyjnych o osobach, które pojawiają się we wsi. Następnego dnia Władek zameldował się w niemieckiej komendaturze. Niemiecki oficer polecił mu wrócić do rodzinnego domu w Rudce. Ale powrót uciekiniera groził rodzinie deportacją na Syberię. Postanowił więc pożegnać się z rodziną ciotki i pójść do Narola.

Tam u jednego z gospodarzy służył jego starszy kuzyn Andrzej. Liczył, że skoro gospodarz ten kiedyś przyjął on na służbę kuzyna, może teraz przyjmie i jego. Rzeczywiście, gospodarz ochoczo przyjął go do pracy, ale oznajmił mu, że pieniędzy u nich nie ma, ale jedzenia nie brakuje.

Jesienią 1941 roku kuzyn i córka gospodarza zostali wezwani do niemieckiej komendatury w Bełcu. Wszyscy domyślali się w jakim celu. Po krótkiej naradzie z gospodarzem zapadła decyzja. Córki przez jakiś czas nie może być w domu – wyjedzie do rodziny. Andrzej pójdzie do lasu do partyzantki a Władek zamelduje się na komendanturze pod zmienionym nazwiskiem. I tak się stało. Z komendatury pod eskortą wraz z innymi młodymi ludźmi zapędzony został na stację kolejową. A wieczorem ich konwojowany przez żandarmów pociąg wyruszył w kierunku Niemiec. Po dwóch nocach i jednym dniu drogi, wszyscy wysiedli na jednym z niemieckich dworców.

Władek został przydzielony do rodziny mieszkającej na wsi, która oprócz gospodarstwa rolnego miała duży tartak. To głównie w tym tartaku wraz z dwoma Niemcami, trzema Czechami i jednym Francuzem pracował. Najczęściej jednak przewoził końmi drzewo z lasu do tartaku. Któregoś letniego wieczoru w 1943 roku, kiedy wracał od kolegi również Polaka pracującego u sąsiada, przed domem czekał na niego policjant. Po wejściu do domu policjant przyniesioną ze sobą stalową sprężyną ciężko go pobił. Mimo, że w pokoju obok przebywała rodzina gospodarza, jego jęków i błagania o litość jak się okazało nazajutrz, nikt nie słyszał. Około południa następnego dnia ten sam policjant pojawił się na podwórku aby zabrać Władka na komendaturę. Ale on tego ranka nie wstawał. Nie był w stanie podnieść się z łóżka. Dzięki wstawiennictwu gospodarza policjant pozostawił go w domu. Urazy jakich doznał na rękach, głowie, plecach i nogach na kilka dni wyłączyły go z pracy a skutki tego pobicia odczuwał przez kilka lat. Kolejny raz ten policjant przyszedł po Władka, kiedy kończyła się wojna, kiedy zbliżał się amerykański front. Tym razem na jego polecenie miał końmi przewieźć do pożaru w sąsiedniej miejscowości strażacką pompę. Gospodarz kategorycznie odmówił policjantowi wykonania polecenia i po długiej z nim rozmowie zagroził, że w przypadku wyjazdu Władka, on zwalnia pracowników i zaprzestaje realizacji rządowych zamówień. Po odejściu policjanta gospodarz powiedział Władowi „uratowałem ci życie. Policjant w obawie, abyś przypadkiem nie poskarżył się Amerykanom, chciał z tobą porozmawiać”. Jak się później okazało policjant ten, podobne rozmowy odbył z kilkoma innymi młodymi Polakami pracującymi w sąsiednich miejscowościach, ale były to ich rozmowy ostateczne.

Zbigniew Wróbel

Dokończenie w kolejnym numerze

Z wojennego września 1939 roku (13)

W końcu września 72 lata temu

W swoich wspomnieniach Mieczysław Czubryt [MC.] pisze: „*Dla takich smarkaczy jak ja i mnie podobnym wszystko co się aktualnie działo było nowe, niespotykane i ciekawe. Całymi dniami myszkowaliśmy po stosach wojennego dobra pozostawionego przez naszych [6. DP]. Czego szukaliśmy - nie wiem, po prostu ciekawiło nas to wszystko, od czasu do czasu w taborach znajdujemy kawę słodzoną i prasowaną, którą uczciwie dzielimy się. Marian Zając gromadzi broń i amunicję, miał tego podobno sporo tak że za niemieckich czasów miał poważne kłopoty, ktoś doniósł o tym niemieckim władzom, podejrzewano Stefana B., już dzisiaj tego nie dojdziemy. Ganialiśmy wszędzie za co zawsze w domu dostawałem solidny opierunek. W Nowym Siole w parku obok dworku [Gnoińskich] poddała się „jednostka wojskowa” [6. DP] pozostawiając masę sprzętu. Widzimy jak podjeżdżają ukraińskie chłopskie wozy i po kolei ładują na nie co się da. U nas w domu usłyszawszy o tym (był u nas ktoś z sąsiadów), razem z Ojcem zastanawiamy się... po co im to potrzebne. Okazało się, że już wtedy coś knuli i szykowali, a do tego potrzebna była im broń. Polacy tylko się dziwili, a jak przyszła [potem] potrzeba [napady banderowców na Polaków w 1944 r.], „zostaliśmy z ręką w nocniku”... bezsilni i bezradni.”*

Pisze w swojej kronice ówczesny lubaczowski wikary ks. Marian Florków: „...*żołnierze niemieccy codziennie przeprowadzali przez Lubaczów tysiączne zastępy jeńców polskich, których zgłodniałych i wycieńczonych transportowano pociągami na Zachód. Niektórzy żołdacy nie pozwalali podać jeńcom nawet chleba i wody. Równocześnie na Zachód ruszyła powtórna fala uciekinierów...*”

Wracali ze Wschodu cofający się polscy żołnierze. Tak np. wracał przez Lubaczów plutonowy 39 pp. Stanisław Furgała (brat Heleny Furgały Fusińskiej, żony stolarza Józefa F. z ul. Rejtana). Pochodził z ul. Piłsudskiego, ożenił się z kobietą z Unii Lubelskiej, wracał jak inni, spod Lwowa i in. miejscowości. I nie zatrzymał się w rodzinnym domu Furgałów, ale szedł dalej i nadal walczył, aż znalazł swoje przeznaczenie pod Monte Cassino. Tam zginął.

Niemcy i Sowieci z dwóch stron zacisnęli pierścień wokół oblężonego i broniącego się Lwowa. W końcu Niemcy wycofali się, zostawiając miasto (zgodnie ze „zmową najeźdźców”) Sowietaom. 22 IX 1939 r. Lwów poddał się. Honorowe warunki kapitulacji nie zostały dotrzymane, miasto stało się widownią sowieckich gwałtów i zbrodni wojennych. 23 IX do Lwowa wlewają się sowieccy żołnierze i politycy, trwa rabunek, potem aresztowania, wywozy, „Katyń”.

Pisze Marian Kopf: „*Od 24 IX coraz mniej Niemców było widać na ulicach miasta [Lubaczowa]. 25 IX... dowiedzieliśmy się że Niemcy wynoszą się ze wszystkich dotychczas zajmowanych kwater. Od dwóch dni nie było już także jeńców... nastal jakiś dziwnie podejrzany spokój. Powracający uciekinierzy ze wschodu mówili, że teraz nowa fala ludzi ucieka przed Sowietaami na zachód.... Najlepiej wszystko wiedzieli Żydzi, jakby odżyli, zaczęli chodzić po ulicach wierząc że im już nic nie grozi. Wieczorem sąsiad Żyd powiedział do [moich] dziadków: „Idzie do nas Czerwona Armia!”, był bardzo uradowany.” W dniach 24-26 IX Niemcy opuszczali Lubaczów, 26 IX pojawiły się w Lubaczowie pierwsze oddziały Armii Czerwonej (nazajutrz - 27 IX wojska sowieckie weszły do Cieszanowa).*

W tych wrześniowych dniach Ukraińcy czekali na Niemców, z którymi od Zachodu od 1 IX walczyli Polacy. Żydzi czekali na Rosjan, którzy 17 IX napadli na Polskę od Wschodu... Wbrew traktatom wypięli się też alianci - Anglia i Francja. W siedemnastym dniu września 1939 r. wszystko przybrało „obroty” przeciw Polsce i Polakom, którzy jako jedyni nie mieli za sobą żadnego sojusznika - sprzymierzeńca, a osamotniona wręcz zewsząd Polska mogła się spodziewać jedynie kolejnego „uderzenia w plecy”.

Wspomina Kazimierz Trembicki z Bihai: „*Fala uciekinierów... pośpiesznie wracała do swych domów... Chcąc coś zjeść, czy napić się najpierw wypytawali jaka to wieś, czy przypadkiem nie ukraińska. Wszyscy widocznie zaznali... na wschodzie smaku wojny - nie tak ze strony Niemców, jak bratnich... narodów - Ukraińców i Rosjan. W tym to czasie zrodziła się wielka nienawiść do tych dwóch narodowości - sprzymierzących Hitlerowi. To oni razem z Niemcami wbijali Polskę „Morderczy*

nóż”... więcej nienawiści czuliśmy do Ukraińców i Rosjan, niż do Niemców. Niemcy jeszcze nie mieli czasu na gwałty... Powracający ze wschodu uciekinierzy opowiadali o morderczych kulach z ukraińskich wsi. Powrócił z tej wędrówki brat Stefan. Opowiadał o śmierci swego kolegi Józefa Strycharza... dostali się w krzyżowy ogień Ukraińców... Inne wydarzenie opowiedziane przez brata to śmierć dwóch polskich wojskowych w pobliżu Zborowa... oficer... radziecki major kierował ich w stronę zagajnika. Tam... padły strzały... Opowiadanie brata zamykało nam słuchającym oddech... Obraz wschodnich sąsiadów utrwalił się u mnie, już w tym czasie na zawsze... Minęło dużo lat a nie znalazłem usprawiedliwienia dla takich czynów...”

Sowiecki okupant wprowadzał na zbrojnie zajmowanych terytoriach ziem polskich politykę terroru, grabieży, gwałtu, deportacji i mordów. Sowieccy żołnierze szturmujący Grodno przywiązywali dzieci do czołgów, aby chronili je przed kulami obrońców miasta (przykład żywej tarczy - 13-letni Tadeusz Jasiński, półsierota, syn służącej Z. Jasińskiej, wychowanek Zakładu Dobroczyńności... wydarzenia te mają w literaturze tematu swoje opisy). Po wtargnięciu Armia Czerwona i komunistyczne bojówki zaczęły masowo mordować polskich żołnierzy, policjantów, harcerzy i inteligencję. Normą było masowe rozstrzeliwanie tych którzy stawili opór najeźdźcy. Kwalifikowano po ubiorze - mundurze lub po rękach, jeśli ręka gładka - „wróg ludu” i też do rozstrzelania. Oficerowie byli zabijani najpopularniejszą wśród czerwonoarmistów metodą: strzałem w tył głowy. Bywały przypadki, że rannym żołnierzom wydłubywano oczy łufami karabinów. Wziętemu do niewoli na zdobytym terenie polskiemu pułkownikowi - lekarzowi, „bawiąc się” z nim rozpruili brzuch, okrecili wnętrzności na kołowrocie studni i puszczając w ruch korbę, zmusili do biegania, kłując go bagnetami wśród śmiechów. Sowiecki lejtnant przed łufą działa ustawiał rzędem jeńców polskich i oddając strzał sprawdzał ilu to Polaków można zabić za jednym razem. To tylko niektóre przykłady [J. Porzecki, Grodno broniła młodzież, w: Rzeczpospolita z dn. 16.09.2009; R. Pasztelański, Sowietci wzięli dzieci do czołgów, w: Nowiny z dn. 18-20.09.2009; P. Zychowicz, Pożoga na Kresach, w: Rzeczpospolita z dn. 17.09.2009].

Z takiego obrotu spraw, że Polska dogorywa w morderczym uścisku dwóch okupantów (niedawnych swoich traktatowych sojuszników) cieszyli się Ukraińcy. I tak jak wcześniej czekając na „Niemca”, teraz czekali na „Sowieta”. Także na Sowieta (był nie na Niemców) czekali Żydzi. Wszyscy kogoś niecierpliwie oczekiwali, tylko Polacy nie mieli na kogo czekać bo nawet przymierza z Anglią i Francją w tych trudnych dniach zawiodły. Położenie Polaków - rdzennych obywateli było nie do pozazdroszczenia. Byli nie tylko osamotnieni i w kleszczach dwóch okupantów ale też otoczeni dwoma innymi nacjami równie jedynie pragnącymi „wbity Polsce nóż plecy pchnąć głębiej”.

Wrzesień 1939 r. dobiegał końca, zostało zaledwie kilka jego dni, dni w których jeszcze wiele się wydarzyło. Jak wiele? O tym już następnym razem.

Adam Szajowski

Listy czytelników

Z uwagą przeczytałem artykuł: „Magister szuka pracy”. Jestem współwłaścicielem dużej firmy w której jest miejsce na magistrów czyli pracę zgodną z wykształceniem. Ale niestety jesteśmy nimi rozczarowani. Absolwent wyższej uczelni podejmując u nas pracę z miejsca rozgląda się za czymś lepszym i upomina się o wyższe pobory. A przecież w nowego pracownika firma musi zainwestować w jego naukę a przede wszystkim w praktykę. A pracownik jak tylko znajdzie coś atrakcyjniejszego z miejsca od nas odchodzi. Na usprawiedliwienie mówi: To chyba naturalne, że chcę się rozwijać, więcej zarabiać. Pozornie ma rację. Ale na takim podejściu cierpią inni. Dlatego jesteśmy bardzo ostrożni w przyjmowaniu magistrów.

Krystian W. Jarosław

„Jak cię widzą tak cię piszą”

Rozmowa z Ewą Cwynar właścicielką Firmy Sprzątającej „Czysty Dom”



- Skąd pomysł na taką działalność?

Pracując przez 5 lat we Włoszech podziwiałam piękne i czyste podgórskie miejscowości. Pomyślałam sobie, że również u nas w krajobrazie Rostocza wiele można zmienić na lepsze i chociaż po części dorównać do tych wzorców.

- Jakie były Pani motywy do podjęcia działalności?

Miałam dość ciągłych wyjazdów zagranicę, cierpiałam na tym rodzina, przede wszystkim dzieci. O pracę na naszym terenie trudno, od jakiegoś czasu kielkowała w mojej głowie myśl, aby zacząć pracować na własny rachunek, były to jednak w pewnym sensie nierealne marzenia bo nie miałam dość środków by taką działalność podjąć.

- Mogła Pani liczyć na jakąś pomoc finansową dla bezrobotnych?

I to była jakaś iskierka nadziei. Dowiedziałam się w Powiatowym Biurze Pracy, że są nabory z Przemyskiej Agencji Rozwoju Regionalnego dla kandydatów pragnących podjąć własną działalność gospodarczą. Złożyłam wniosek, lecz szansa jego realizacji była jak jeden do dwudziestu. Wpłynęło ponad dwieście takich wniosków z powiatów lubaczowskiego, jarosławskiego, przeworskiego i przemyskiego z czego do grona szczęśliwców miało się zakwalifikować 13 kobiet. Moja determinacja i silne przekonanie, że mi się uda doprowadziła do sukcesu. Chciałam w tym miejscu podziękować za otrzymaną pomoc doradcą PARR w Przemysku, znakomitą współpracę przy sporządzaniu biznes planu z Biurem Rachunkowym „Progres” p. Marii Wojtków.

- Na czym polega innowacyjność wykonywanych przez Pani firmę usług?

Dzięki otrzymanej dotacji mogłam zakupić profesjonalny sprzęt i środki czyszczące, których inni na naszym terenie nie posiadają. Ścierki i mopy używam tylko sporadycznie. Wnętrza budynków doprowadzam do pierwotnego wyglądu przy pomocy pary pod dużym ciśnieniem dotrę w każdy zakamarek i szparę (podłóża, okna, drzwi, urządzenia), czyszczę dywany i tapicerkę meblową z opornych plam. Na zewnątrz wykonuję usługi czyszczenia kostki brukowej, ogrodzeń, dachów, elewacji z mchów, porostów i sadzy. W swojej ofercie mam również sprzątanie po budowie i remontach, przed i po imprezach okolicznościowych, sprzątanie przedsięwzięte, również ekspresowo „na telefon.”

- Jakie są zapotrzebowania na usługi?

Właściwie dopiero wchodzę na rynek, zainteresowanie moimi usługami jest powiedziałabym średnie, lecz tłumaczę to tym, że działalność rozpoczęłam właściwie jesienią, co przy pracach na zewnątrz ma swoje znaczenie. Obserwuję na naszym lokalnym podwórku mentalność niektórych ludzi do traktowania swoich posesji na zasadzie „jak jakoś było do tej pory, to dalej będzie”, bo mam inne pilniejsze wydatki. Rozumiem, że większość ludzi żyje skromnie, lecz gdy w niewielkich już wprawdzie obejściach stoją lśniące samochody, wewnątrz wysokiej klasy płytki, parkiety i wspaniałe umeblowanie, a dach, elewacja, ogrodzenie i kostka brukowa porośnięte mchem, pokryte plamami to jedno do drugiego jakoś nie pasuje. Obserwuję od kilku lat coraz większą dbałość o swoje posesje, i ciągle zmienia się to na lepsze. Ludzie zaczynają myśleć innymi kategoriami na zasadzie „jak cię widzą tak cię piszą”

- Jest pani zadowolona ze swojego przedsięwzięcia?

Pokazałam innym przede wszystkim młodym ludziom, że z narzekania i utyskiwania na swój los nic dobrego nie wyniknie. Jak ktoś bardzo chce, może wziąć sprawy w swoje ręce, ja w wieku „po czterdziestce” udowodniłam, że można. Po latach tułaczki, po zagranicznych wojażach, bycia kura domową, znalazłam swoje miejsce w życiu tu na lokalnym

podwórku. Nie jestem osobą nadzorującą pracowników, sama ciężko pracuję często po kilkanaście godzin dziennie, ale mam z tego wspaniałą satysfakcję i chcę żeby tej pracy było jak najwięcej.

- Gdzie znajduje się Pani Firma i jaki jest kontakt?

Moja firma ma siedzibę w Narol Wieś 23a 37-610 Narol, telefon/fax 16 631 77 44 telefon komórkowy 601 684 254

Dziękuję za rozmowę
Rozmawiał Marek Wrzosek

Sport – Piłka Nożna

Statystyki posezonowe – jesień 2011 Pogoń – Sokół Lubaczów

Lp.	Imię i nazwisko	Pozycja	Ilość meczy	Bramki	Żółte kartki	Czerwone kartki	Łączny czas gry [min]
1	Młodziński Karol	bramkarz	13	0	2	0	1170
2	Łakomy Konrad	bramkarz	1	0	0	0	90
3	Dyś Dawid	obrońca	9	0	0	0	755
4	Hass Artur	obrońca	14	2	0	0	1250
5	Pracalo Łukasz	obrońca	12	0	0	0	1050
6	Melech Mariusz	obrońca	4	0	0	0	165
7	Mazur Łukasz	obrońca/pomocnik	11	4	0	0	794
8	Zaluski Mateusz	obrońca/pomocnik	10	0	1	0	782
9	Szpyt Sylwester	obrońca/pomocnik	9	0	0	0	198
10	Polucha Damian	pomocnik	13	4	1	0	860
11	Stec Maciej	pomocnik	14	1	4	0	1020
12	Dyś Marek	pomocnik	8	0	1	0	355
13	Hojdak Radosław	pomocnik	12	4	0	0	920
14	Zaluski Łukasz	pomocnik	0	0	0	0	0
15	Kopciuch Konrad	pomocnik	8	1	0	0	225
16	Nowak Kamil	pomocnik	11	0	2	1	640
17	Klatka Seweryn	pomocnik	6	0	0	0	2010
18	Sochań Patryk	pomocnik	0	0	0	0	0
19	Wojtowicz Konrad	pomocnik/napastnik	9	7	0	0	610
20	Gotkowski Marcin	napastnik	11	7	3	0	590
21	Grudowski Bartosz	napastnik	9	0	1	0	330
22	Malecki Paweł	napastnik	14	9	3	0	990
23	Kornaga Wojciech	napastnik	5	0	0	0	50
24	Hass Paweł	napastnik	9	10	0	0	745



W górnym rzędzie od lewej: Sylwester Szpyt, Konrad Wojtowicz, Marcin Gotkowski, Wojciech Kornaga, Maciej Stec, Kamil Nowak, Łukasz Mazur, Artur Hass.
Dolny rząd: Paweł Hass, Damian Polucha, Mariusz Melech, Mateusz Zaluski, Karol Młodziński, Paweł Malecki, Łukasz Pracalo, Seweryn Klatka, Radosław Hojdek.
Nieobecni zawodnicy: Dawid Dyś, Marek Dyś, Bartosz Grudowski, Konrad Kopciuch, Łukasz Zaluski, Andrzej Mazurkiewicz.
Zarząd: Marek Stanisławczuk – Prezes, Andrzej Gancarz – Z-ca Prezesa, Leonard Sochań – Sekretarz, Józef Stryk – Skarbnik, Jan Krywko – członek zarządu, Wojciech Furgala – członek zarządu, Rafał Dudziński – członek zarządu.
Komisja Rewizyjna: Ryszard Kaczka – Przewodniczący, Grzegorz Obroślak – Z-ca Przewodniczącego, Paweł Włoch – Sekretarz.

Opracował Ryszard Kaczka

Wiesław Witko - rolnik z marzeniami

W poprzednim numerze „Kresowiaka Galicyjskiego” wydrukowany został list czytelnika, w którym pisze, że jego zdaniem przedsiębiorcy Wiesławowi Witko z Moszczanicy Izba Rolnicza w Lubaczowie niesłusznie przyznała odznaczenia. Jako uzasadnienie podał, że Wiesław Witko jest przedsiębiorcą a prowadzenie gospodarstwa jest jego dodatkowym zajęciem. A pominięci zostali inni rolnicy i tu podano ich nazwiska, którzy bardziej na odznaczenia zasłużyli. List ten spotkał się z protestami. Oprócz samego zainteresowanego otrzymaliśmy szereg telefonów od osób, które stanęły w obronie Wiesława Witko i uzasadniały, że właśnie on podejmując nowe inicjatywy, toruje drogę nowoczesności, jest rolnikiem na miarę naszych czasów. Zainspirowani telefonami postanowiliśmy bliżej poznać rolnika z Moszczanicy. Po ukończeniu Technikum Rolniczego i odbyciu służby wojskowej Wiesław Witko obejmuje gospodarstwo po rodzicach. Jest ambitny, unowocześnia swe gospodarstwo i stawia na specjalizację; hodowlę krów, inwestuje w niezbędne maszyny. Jako jeden z pierwszych w powiecie instaluje zbiornik do chłodzenia mleka, dzięki któremu dostawcy otrzymali wyższą cenę. Stopniowo gospodarstwo powiększa. Aktualnie posiada około 30 hektarów użytków rolnych i 300 ha z ANR. Prowadzi firmę zajmującą się skupem i dystrybucją produktów rolnych, tj. mleka, zboża oraz odnawialnymi źródłami energii. Wiesław Witko jest ponadto organizatorem i członkiem jednej z trzech w powiecie lubaczowskim Spółek Rolnych.

Równocześnie angażuje się w działalność społeczną, charytatywną i to na wielu frontach. Sponsoruje szereg imprez strażackich, szkolnych, gminnych oraz fundację dla biednych dzieci. Uczestniczył w organizowaniu pomocy rolnikom dotkniętym powodzią. Wspiera też rzeczowo

Powiatowe Święta Plonów. Z uznaniem należy przyznać, że w pracy jak również w akcjach społecznych Wiesława dzielnie wspiera żona Urszula. Dla niej, oprócz prowadzenia gospodarstwa, marzeniem było prowadzenie własnego sklepu. Marzenie to udało jej się sfinalizować i aktualnie w Lubaczowie prowadzi swój sklep.

Nie samym chlebem człowiek żyje – mówi przysłowie. Oprócz prowadzenia gospodarstwa i działalności społecznej znajdują czas dla siebie, lubią podróżować, narciarstwo i tenis to dla nich dodatkowa rozrywka. Wiesław Witko nie poprzestaje na dotychczasowych osiągnięciach. Swoje gospodarstwo zlokalizowane w atrakcyjnym miejscu Moszczanicy zamierza uczynić agroturystycznym. Ale to nie wszystko. Patrząc na okrutne losy ludzi starych, jego marzeniem jest założenie małego Domu Pogodnej Starości. Dostrzegając zmiany w rolnictwie mając styczność z rolnikami postanowił kandydować do Izby Rolniczej, której jest członkiem.

Czasy gdy rolnik zajmował się wszystkim, łącznie ze sprzedażą swoich produktów, odchodzą w przeszłość. W zamian rośnie ranga firm, które świadczą usługi dla rolników. Z tych względów Izba Rolnicza odznacza również osoby, które przysłużyły się w rozwoju rolnictwa i niekoniecznie muszą one mieć osiągnięcia tylko w prowadzeniu gospodarstwa. Do tej nowej, zresztą coraz liczniejszej generacji, należy również Wiesław Witko, który na przyznane odznaczenia w pełni zasłużył. Kończąc ten artykuł warto zacytować motto Wiesława Witko „Żyje się dla kilku spotkań i paru wzruszeń, ważne by ich nie przegapić”.

Andrzej Olszewski



KAPITAŁ LUDZKI
NARODOWA STRATEGIA SPÓJNOŚCI

UNIA EUROPEJSKA
EUROPEJSKI
FUNDUSZ SPOŁECZNY



Artykuł współfinansowany
przez Unię Europejską w ramach
Europejskiego Funduszu Społecznego

CZAS NA AKTYWNOŚĆ W GMINIE MIEJSKIEJ LUBACZÓW – IV EDYCJA

Projekt zakłada aktywizację zawodową i społeczną 12 mieszkańców miasta Lubaczowa. Uczestnikami projektu są osoby długotrwale bezrobotne, nieposiadające kwalifikacji zawodowych, z problemami zdrowotnymi, nieaktywne zawodowo, korzystające ze świadczeń pomocy społecznej. Projekt realizowany jest w mieście od 2008 a umowa przewiduje realizację działań z zakresu wsparcia aktywizacyjnego osób zagrożonych marginalizacją i wykluczeniem społecznym do roku 2013. Finansowany jest ze środków Europejskiego Funduszu Społecznego w ramach Programu Operacyjnego Kapitał Ludzki. W bieżącym roku były realizowane cztery formy aktywizacji tj.:

- kursy doskonalenia zawodowego w zawodach opiekun w domu pomocy społecznej, (2 kobiety), sprzedawca (7 kobiet), kucharz, kelner, organizacja przyjęć – (2 kobiety), glazurnik (1 mężczyzna),
- trening kompetencji i umiejętności społecznych w zakresie budowy pozytywnej samooceny i umiejętności komunikacyjnych,
- indywidualne konsultacje psychologiczne,
- poradnictwo grupowe w zakresie podniesienia umiejętności społeczno-zawodowych (przygotowanie CV, listu motywacyjnego, autoprezentacja). Wszystkie założenia programu mają służyć eliminacji zjawiska wykluczenia społecznego, zwiększeniu szans na zatrudnienie osób objętych programem oraz podniesieniu aktywności zawodowej i społecznej beneficjentów.

Projekt jest realizowany w ramach Priorytetu VII „Promocja Integracji Społecznej” Programu Operacyjnego Kapitał Ludzki. Okres trwania projektu: styczeń-grudzień 2011 r.

13 października

Aż do Kowalówki po pijanemu samochodem VW Passat wybrał się Andrzej F. z Rudy Różanieckiej.

20 października

W Lubaczowie Janusz H. posiadał susz konopi.

21 października

W Folwarkach 30 września w samochodzie Audi własności Dawida H. wybito tylną szybę i wgnieciono karoserię.

22 października

W Oleszycach miał miejsce wypadek drogowy. Dorota F. jadąc w stanie nietrzeźwym samochodem Passat zjechała na lewy pas i uderzyła w drzewa przy chodniku. Z kolei na trasie Stary Dzików - Koziejówka Franciszek S. kierujący ciągnikiem, zjechał do rowu przewracając go na prawy bok i doznając przegięcia głowy.

24 października

W Narolu nietrzeźwy Marcin G. naruszył zakaz kierowania samochodem.

W Kobylnicy Wołoskiej Władysław Sz. w stanie nietrzeźwym wybrał się na przejażdżkę rowerem. Podobnego wyczynu dopuścił się w Horyńcu Kazimierz A.Z. kolei Łukasz K. z Narola będąc po wódce wybrał się rowerem aż do Kobylnicy Wołoskiej.

25 października

W Plazowie nietrzeźwy Lesław P. kierował samochodem Ford.

W Nowym Lublińcu nietrzeźwy Jan T. wyruszył na przejażdżkę rowerem. Podobnego wyczynu na motorowerze dopuścił się w Lubaczowie Stanisław S. z Balaji.

28 października

W Lubaczowie, Oleszycach i w Horyńcu w lokalach gastronomicznych i dyskotekowych odtwarzane były utwory muzyczne bez uprawnień.

30 października

W Młodowie Bartłomiej B. mimo zakazu w stanie nietrzeźwym kierował motorowerem. Z kolei Józef S. z Tymców w stanie nietrzeźwym wybrał się rowerem do Żaluza.

4 listopada

W Oleszycach nieznanymi sprawcami poprzez wycięcie kraty w oknie, włamał się do domku letniskowego Nestora G. i dokonał kradzieży pastucha elektrycznego, butli gazowej i naczyń.

29 października

W Nowym Lublińcu nietrzeźwy Stanisław P. naruszył zakaz kierowania samochodem osobowym.

1 listopada

W Dolinach kierujący samochodem VW Passat 23-letni Wojciech Sz. podczas wyprzedzania wjechał do rowu uderzył w drzewo i poniósł śmierć na miejscu. Pasażerka Ewelina Ł. lat 21 doznała wstrząsu mózgu.

3 listopada

W Lubaczowie Józef N. w stanie nietrzeźwym kierował samochodem VW.

6 listopada

W Lubaczowie nieznanymi sprawcami poprzez wybite tylnej szyby wartości 1000 zł uszkodził samochód Toyota Awensis.

W Młodowie Skowroński B. w stanie nietrzeźwym wsiadł na rower.

7 listopada

W Borowej Górze nietrzeźwy Sylwester J. kierował samochodem Fiat 126p.

W Lubaczowie mimo zakazu i to w stanie nietrzeźwym Rafał F. kierował samochodem Audi.

Około północy funkcjonariusze patrolujący Lubaczów zauważyli młodego mężczyznę, który wybijał szyby w witrynach sklepowych i uszkadzał samochody. Widząc policyjny radiowóz chuligan zaczął uciekać lecz już po chwili został zatrzymany. Okazało się, że jest to znany lubaczowskiemu Policji 17-letni mieszkaniec tego miasta. Badanie alkomatem wykazało u niego prawie dwa promile alkoholu, wobec czego do rana młodzieniec trzeźwiał w policyjnym areszcie. Uszkodzeniom spowodowanym przez wandalę uległy trzy szyby w witrynach



sklepowych, szyby w oknach jednego z budynków mieszkalnych oraz lusterka w dwóch samochodach. Do chwili obecnej młody mężczyzna usłyszał pięć zarzutów.

8 listopada

Wspólny patrol policji z funkcjonariuszami Straży Leśnej z Nadleśnictwa w Lubaczowie oraz leśniczym Leśnictwa Krowica kompleksów leśnych Budomierza zakończył się ustaleniem sprawcy nielegalnego wyrębu i kradzieży drewna sosnowego. 61-letni mężczyzna, mieszkaniec Budomierza pozyskał nielegalnie drewno i wywiózł je z lasu na swoją posesję. Ślady doprowadziły funkcjonariuszy prosto do miejsca zamieszkania sprawcy. Ponadto leśnicy stwierdzili, że przywiezione drzewo nie posiada podstawowych znaków legalności. Wobec tak silnych argumentów, mężczyźni nie pozostali nic innego jak przyznać się do zarzucanego mu czynu.

Kradzieży drewna dokonał również mieszkaniec Bihali. Na jednej z leśnych dróg w okolicy miejscowości Bihale, policjanci podjęli kontrolę zaprzęgu konnego, którym jechali dwaj mężczyźni. Wóznica zlekceważył sygnały do zatrzymania się i próbował staranować policyjny samochód. Chwilę później zatrzymał zaprzęg i z siekierą w rękach ruszył w kierunku policjantów. Wymachując nią zmusił funkcjonariuszy do wycofania się. Policjanci wykorzystując chwilową nieuwagę sprawcy powalili mężczyznę na ziemię i obezwładnili go. Podczas obezwładniania napastnik kolejny raz próbował zranic policjantów, tym razem z kurtki wyjął pilnik do ostrzenia łańcuchów pil motorowych i usiłował nim zdgnąć jednego z funkcjonariuszy. Policjanci uniknęli jednak ciosów, obezwładnili i zatrzymali agresywnego napastnika. Idąc po śladach wozu konnego policjanci doszli do porzuconego przed lasem świeżo ściętego drewna sosnowego, które zostało zabezpieczone do dalszych badań. Agresywny wóznica, 51-letni mieszkaniec Bihali oraz jego 43-letni kompan zostali zatrzymani w policyjnym areszcie. Badania alkomatem wykazały, że mieli w organizmie ponad 1,5 promila alkoholu.

11 listopada

W Lubaczowie na ulicy Wyszyńskiego miała miejsce kolizja koni z motorowerem. Policjanci, którzy przybyli na miejsce ustalili, że dwa konie nie będące na uwięzi nagle wbiegły na ruchliwą jezdnię i spowodowały kolizję z przejeżdżającym skuterem. Jednośladowcami podróżowali dwaj młodzi mieszkańcy Futorów (gm. Oleszyce), w wieku 14 i 16 lat. Na szczęście chłopcy nie odnieśli żadnych obrażeń. Uszkodzeniom uległ natomiast motorower. Zagrożenie zostało szybko zażegnane poprzez ustalenie właściciela koni, który zabrał zwierzęta z drogi przywracając w ten sposób płynność w ruchu pojazdów. 59-letni mieszkaniec Lubaczowa został ukarany mandatem karnym za niezachowanie środków ostrożności przy trzymaniu zwierząt.

W Lipsku Mateusz K. z Narola w stanie nietrzeźwym kierował samochodem BMW.

W Antonikach nietrzeźwy Rafał H. kierował samochodem VW Golf.

12 listopada

Do Starych Oleszyc rowerem po pijanemu wybrał się Krzysztof K. ze Starego Siola.

W Krowicy Samej nietrzeźwy Rafał F. kierował samochodem Audi.

14 listopada

Policjanci patrolujący Lubaczów ujawnili pożar zabudowań na ul. Partyzantów. Zawiadomiona Straż Pożarna podjęła natychmiastową akcję gaśniczą, dzięki której pożar nie rozprzestrzenił się na sąsiednie budynki. Nikt też w pożarze nie ucierpiał. Właściciel wycenił straty na 200 000 złotych.

Do Lubaczowa w stanie trzeźwym samochodem

Citroen przybył Robert S. z Dachnowa.

15 listopada

W Horyńcu Mirosław G. w stanie nietrzeźwym kierował samochodem VW Golf. Podobnego wyczynu dopuścił się w Lubaczowie Oskar N. i Mieczysław N.

16 listopada

Do Lubaczowa w stanie nietrzeźwym wybrał się samochodem Rafał N. z Nowego Siola.

W Żalużu Kazimierz K. w stanie nietrzeźwym wyruszył na przejażdżkę rowerową.

17 listopada

W Lubaczowie Mariusz O. w stanie nietrzeźwym kierował samochodem Opel Corsa.

20 listopada

Kilka minut po godzinie 2, dyżurny lubaczowskiej komendy otrzymał telefoniczne zgłoszenie o pożarze ciężarówki. Zdarzenie miało miejsce w kompleksie leśnym na trasie Cieszanów - Narol. Skierowany do pożaru patrol zastał na miejscu strażaków dogasających kabinę ciężarowego dafa. Tir na dołączonej naczepie nie przewoził żadnego ładunku. Ze wstępnych ustaleń wynika, że spaleni uległy dokument pojazdu, dwa telefony komórkowe, laptop oraz pieniądze w kwocie około 20 000 euro. Do rana na miejscu zdarzenia pracowali policjanci, którzy wykonali szereg czynności wykrywczych. Teraz w sprawie pożaru zostanie przeprowadzone dochodzenie, które pozwoli ustalić jego przyczynę.

23 listopada

73-letnia mieszkanka Łukawicy wyszła wieczór z domu i po kilku godzinach nie powróciła. Oficer dyżurny KP Policji w Lubaczowie po otrzymaniu tej informacji natychmiast skierował do Łukawicy trzydziestu policjantów i polecił im wszczęcie poszukiwań za zaginioną. Do prowadzonej akcji przyłączyli się mieszkańcy Łukawicy, 45 strażaków z gminnych OSP oraz trzech funkcjonariuszy Straży Granicznej z Horyńca-Zdroju - przewodnik z psem tropiącym i dwóch operatorów przenośnych kamer termowizyjnych. Przeszło 100 ludzi rozstawionych w policyjne tyraliery przeszukiwało łukawickie pola i zarośla. W trakcie penetracji operator kamery termowizyjnej zlokalizował zaginioną. Była skrajnie wychłodzona. Natychmiast wezwano pogotowie. Gwałtownie pogarszający się stan zdrowia kobiety zmusił policjantów do umieszczenia jej w policyjnym radiowozie i wyjazdu na przeciw karetce pogotowia. Lekarz dyżurny lubaczowskiego szpitala stwierdził, że kobiecie nie grozi już niebezpieczeństwo.

26 listopada

W Łówczy późnym wieczorem kierowca citroena, 18-letni mieszkaniec Plazowa stracił panowanie nad pojazdem i uderzył w budynek Ochotniczej Straży Pożarnej w Łówczy. Pojazdem podróżowało czterech młodych mężczyzn, z których dwaj zginęli na miejscu, a dwóch pozostałych walczy o życie w szpitalu. Policjanci, pod nadzorem Prokuratury Rejonowej w Lubaczowie wyjaśniają okoliczności wypadku.

28 listopada

W Krowicy Samej wybuchł pożar budynku obory. W akcji gaśniczej brały udział trzy zastępy straży pożarnej. Obora od dłuższego czasu była opuszczona i nie wartościowego w niej nie było. W niedzielę po godzinie 22 dyżurny KPP Lubaczów otrzymał kolejny telefon z informacją o pożarze. Z jego treści wynikało, że tym razem spłonęła stodoła w Krowicy Samej. Po ugaszeniu pożaru przez strażaków właściciel oszacował straty na około 15 tys. złotych. Pogorzeliska zostały skrupulatnie zabezpieczone i wykonano ich oględziny. Policjanci technicy zebrali szereg śladów, lecz do chwili obecnej przyczyna zaistnienia pożarów pozostaje nieustalona. Nie wyklucza się podpałów tych budynków, ale dopiero przeprowadzone w tej sprawie dochodzenie pozwoli na ustalenie okoliczności, w jakich doszło do pożarów.

Część spraw pozostaje w prowadzeniu. Ich przebieg oraz zakończenia mogą się różnić od opisywanych powyżej.

Kino „Melodia”

Po zakończeniu wojny kina upaństwowiano, i z całą pewnością państwowym byłoby prywatne dotąd kino Michała Markiewicza gdyby wojnę przetrwało. Państwowym więc już było nowe kino powstające w budynku „Strzelca” (obok dzisiejszego liceum). Wnętrze dużej sali zaopatrzone w ławy z oparciem, a potem w drewniane kinowe krzesła. Działały dwa projektory niemieckie typu Erneman I i Erneman II, już nieco nowocześniejsze niż w kinie Markiewicza a później projektory polskie typu AP-3 produkcji Łódzkich Zakładów Kinotechnicznych (ŁZK). Po latach przerwy (wojna) ludzie znów zaczęli chodzić do kina.

Pierwszym kierownikiem kina w Lubaczowie w powojennej Polsce był Józef Leszczyński. Pochodził z miejscowości Puchacze (jego bratankiem jest obecny bp Mariusz Leszczyński). Pierwszym operatorem tego kina był kwalifikowany kinooperator z byłego spalonego kina - Włodzimierz Potuczko. Kierownik i operator - były to dwie najważniejsze osoby w kinie, choć były i inne. Pomocnikiem operatora był Józef Zathay. Bilety sprzedawał sam kierownik Leszczyński, i zaraz po rozprzedaniu jako bileter stawał na bramce i wpuszczał widzów do środka. Potem bileterem był pomocnik kinooperatora - Władysław Dryblak, kasjerką była Janina Szabatowska a bileterem Jan Olearnik (mieszkał z rodziną w kinie, żona sprzątała a on pełnił również obowiązki dozorca). Kolejnym kierownikiem, tym razem „kierowniczką” była przewodnicząca Ligi Kobiet w Lubaczowie - Janina Szaper, po niej Wyżykowski (pochodził z okolic Szczutkowa) i potem na krótko Paweł Czul (przyjechał z Francji, uczył w Liceum francuskiego). W latach 1953-1954 kiedy kierownikiem była J. Szaper, bileterką była Helena Hrynek, a jej syn Stanisław Hrynek był kinooperatorem lubaczowskiego kina objazdowego, które tak jak kino stacjonarne podlegało pod Okręgowy Zarząd Kin (OZK) w Rzeszowie.



Z czasem kino przestało być bezimienne i otrzymało nazwę. Dyrekcja rzeszowska - OZK przysłała wykaz nazw akceptowalnych (do wyboru), wśród nich większość była socjalistycznie brzmiąca. Wybór nazwy kierownik zepchał na Włodzimierza Potuczkę, i dobrze, bo ten aby spośród nazw typu: Kino „Moskwa”, „Sztandar”, „Metalowiec”, „Przyjaźń”, „Gwiazda”, nie wybrać czegoś głupiego... jako że sam grał na harmonii, wybrał nazwę - „Melodia”. I tak zostało. Nazwę w Rzeszowie zatwierdzono. Kino „Melodia” - nazwa dość neutralna, prawda że daleko lepiej brzmi niż np. „Kino Moskwa”... Napis „Kino Melodia” długie lata widniał na frontowej ścianie elewacji budynku kina.

Następnym, nietuzinkowym gospodarzem kina był Witalis Przygodzki (na fot. z córką Filipiaków i Stanisławem Potuczko). Mieszkał na Ostrowcu gdzie był ożeniony ze Skolimowską. Opowiadali że gdy był w wojsku to miał kłopoty bo na pytanie „jaka ma być Polska” odpowiedział - „Od morza do morza” (zamiast obszarowo skończyć na Linii

Curzona i odrzec po prostu że „socjalistyczna”). Był bardzo przejęty swoją rolą w kinie. M. in. surowo przestrzegał aby filmów dla dorosłych nie oglądały dzieci i młodzież. Przed każdym nowym filmem jaki wchodził na ekrany, p. Witalis stawał przed ekranem i czy widzowie chcieli czy nie, wprowadzał widzów w tematykę filmu. Często wywoływało to burzę śmiechu. Przy tym umoralniał ludzi, napominał za zostawianie śmieci, upominał za zachowanie. Krytykował, więc i sam przez to był również w plotkach i jawnie krytykowany jako postać wprawdzie ciekawa co do własnych przekonań, ale skłonna do nadmiernej potrzeby ciągłego edukowania innych. Pozostał w pamięci starszego pokolenia jako ewenement tamtych czasów. Żyje w Lubaczowie powtarzana z jego udziałem historyjka. Otóż... na odsłonięcie nowopowstałego pomnika u zbiegu (w widłach) ulic Kościuszki i Sienkiewicza, tego z orłem na czubku („Pomnik ku czci rozstrzelanych i poległych w latach 1939-1944”, od 1995 r. nazwa - „Pomnik bohaterów i ofiar II wojny światowej”, a po przebudowie od 2008 r. nazwa - „Pomnik niepodległości”), przybyły oficjele. Wśród nich sekretarz partii - towarzysz Władysław Kruczek z Rzeszowa. Strach padł na miejskich notabli, bo tow. Kruczek to nie byle kto, to... aż tow. Kruczek. Drżeli by wszystko wypadło jak trzeba. I gdy tak prowadzili w skupieniu i z majestatem w ciszy tego Kruczka pod pomnik, z tłumem ktoś nagle krzyknął: „Cześć Władziu!” Na co nasi miejscowi towarzysze zdębieli, a tymczasem towarzysz Kruczek radośnie odkrzyknął - „Cześć Witalis!” Okazało się że pracowali przedtem z Kruczkiem gdzieś w Rzeszowie i znali się. Partia w Lubaczowie była wniebowzięta. No i po tym ranga p. Witalisa urosła. Mógł wszystko. Po nim krótko kierownikiem kina był Stanisław Świeboda.

Po strasznych przeżyciach wojennych i okupacyjnych: wywozy, zabici z rąk Sowietów i Niemców, zaginięci, masowe mordy w utworzonym przez Niemców (i likwidowanym przez nich) Getcie żydowskim, przemieszczenia frontu, rzezie na Polakach dokonywane przez bandy ukraińskie, wszystko to sprawiało że po wyzwoleniu ludzie zaczęli cieszyć się wolnością a przede wszystkim bardziej niż kiedykolwiek - życiem. Ludzie zaczęli chodzić do kina na sobotnio - niedzielne seanse filmowe. Zaraz po wojnie, zanim się partia (Polska Zjednoczona Partia Robotnicza /PZPR/) jeszcze nie rozpanoszyła i w polskiej propagandzie Amerykanów nie uznawano za imperialistów, w dużej ilości wyświetlano filmy amerykańskie, tylko w części filmy krajów tzw. socjalistycznych, głównie ze Związku Radzieckiego.

Z czasem zapanowała wręcz moda na „wyjście do kina”. Kino stało się drugą po kościele „świątynią” - placówką edukacyjno - rozrywkową gdzie można było niejako zatopić się w przeżywaniu fabuły i mieć swoistą sjęstę duchową. Można się było wówczas do kina (a nie tylko do kościoła) lepiej bo elegancko ubrać. Ludzie szli do kina odświętnie ubrani, zadbani. W cukierni kupowało się słodycze i... do kina. Te zakupy miały dobre i złe strony, bo ludzie szeleścili papierowymi i celofanowymi opakowaniami cukierków i ciasteczek, przeszkadzając sobie nawzajem. Nie było torebek i np. cukierki luzem szufelką nasypywano jedynie do zwiniętego w rożek arkusza papieru. On też szeleścił. Po wyjściu z sali kinowej na podłogę pozostawiano mnóstwo papierków ale i lupin z dyni czy słonecznika. Chłubi to nie przynosiło ale - tak było.

Wraz ze wzmożonym uczęszczaniem do kina utarło się powiedzenie do dziś funkcjonujące: „masz na kino” (choć dzisiaj też mówi się np. „masz na piwo”). Tamto „masz na kino” - oznaczało dobroć rodziców w stosunku do dziecka, zrobienie mu przyjemności, sprawienie radości. W miarę dorastania... wziąć dziewczynę do kina, pójść z chłopakiem do kina - to było coś. Kinowy nastrój sprzyjał uwewnętrznianiu uczuć. Tu wielokrotnie rodziły się pierwsze podszczypywania, przytulania, czułości i sięgania gdzie nie wolno. Tak utrwały się przyjaźnie, uczucia i miłość - magiczna strona tamtego kina. Niech powie ktoś że sam tego nie zaznał... Po zakończonym seansie wieczorem ludzie długo jeszcze spacerowali, rozmawiali o filmie, o sobie, o wszystkim, odprowadzali się. Nie śpieszyli się. I to był ten niesłychany pozytyw tamtego prawdziwego kina w przeciwieństwie do dzisiejszego „kina domowego” i telewizora.